

Wydanie przez

PRZEGLĄD LWOWSKI.

Pismo dwutygodniowe
poświęcone sprawom
religijnym, naukowym, literackim i politycznym.

ROK PIERWSZY.

15. Listopada 1871.

Poszyt dwudziesty drugi.

(Fide ac veritate.)



Spis rzeczy:

- | | |
|--|---|
| <ol style="list-style-type: none">1. Ks. Biskup Łętowski (wedle pamiętników pozostałych po Nim w manuskrypcie) przez Z. Ludwika hr. Dębickiego.2. Listy O. Hieronima Kaysiewicza z drugiej podróży zaatlantycznej — List II.3. Fragment z III poematu „Pieśń duszy.“4. Szkoła żeńska pp. Prezentek w Krakowie.5. Czy Jezuiti zgubili Polskę (dok. rozdz. III).6. Przegląd literatury historycznej. Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego tom VI — PP. Leon Wegner i Kazimierz Jarochoński.7. Alzacya (dokończenie).8. Dwutygodnik polityczny. | <ol style="list-style-type: none">9. Kronika:<ol style="list-style-type: none">I. Allocucya Ojca św. 27 Października.II. Rzym i tamtejsze dzienniki.III. Jules Favre i BeustIV. Dobrze wysłużona nagroda — p. Kraśzewski.V. Dwaj ultramontanie — ś. p. Edmund Bojanowski i Karol Królikowski.VI. Oświata w dzisiejszych szkołach.VII. Ojciec Kaysiewicz w Chicago w czasie pożaru (korespondencya).VIII. Gazeta Narodowa i Szczyntek wobec Duchowieństwa naszego.IX. Duchowieństwo w Wielkopolsce wobec Dziennika Poznańskiego.X. Z powodu zniknięcia panny Wandy L. |
|--|---|

L W Ó W.
NAKŁADEM REDAKCYI.
Z Drukarni Karola Budweisera.
1871.

Rozpoczętą w zeszycie dziesiątym historyczną rozprawę p. t.

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

będziemy bez przerwy zamieszczać w następnych numerach.

I. Opinia publiczna i Jezuici. — Kto są Jezuici. — Czy instytut uległ jakiej zmianie. — Summa czyli treść instytutu. — Rząd Jezuitów jest-li despotyczny. — Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm zakonu. — Cele i widoki. — Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolniałej nauki moralnej, niedozwolonego handlu królobójstwa.

II. Dla czego Jezuici zajmują się edukacją młodzieży. — Podwójne zadanie edukacji jezuickiej. — Jak zakon kształcił profesorów i nauczycieli. — Antynarodowość systemu jezuickiego. — Dzisiejszy system preparand nauczycielskich. — Skład szkół jezuickich. — Profesorowie, i przedmioty w nich wykładane. — Dla czego uczono tyle łaciny. — Klasycy w szkołach dzisiejszych i jezuickich. — Zarzuty względem zaniedbania historii literatury i umiejętności ścisłych. — Kilka uwag nad nowym systemem naukowym (pruskim). — Scholastycyzm i Jezuici. — Prace naukowe Jezuitów. — Strona moralna edukacji jezuickiej. — Emulacya, koncertacye i kongregacye. — Popisy, dyalogi, sądy, prawne dysputy. — Zarzuty bigoteryi, szpiegowania i kar cielesnych.

III. Przyczyny upadku Polski. — Pierwiastki demoralizujące w narodzie jeszcze przed wstąpieniem Jezuitów na ziemię polską. — Czy Jezuici mogli przeszkodzić rozwojowi tych pierwiastków. — Władysław IV i Jezuici. — Demoralizacya narodu przez Jezuitów — Zarzuty księcia Adama Czartoryskiego i odpowiedź na nie — Panegiryki jezuickie pod względem moralnym — Zasługi Jezuitów na polu moralności religijnej.

IV. Uwagi nad okresem piątym literatury polskiej czyli nad epoką jezuicką. — Klótnia Jezuitów z Akademią krakowską czy może stanowić epokę — Odkąd datuje się upadek Akademii krak. i przyczyny jej upadku — Akademia Wileńska i Stefan Batory — Spór z akademią krakowską i Jezuitami o Szkołę poznańską. — Historia klótni akademii krak. z Jezuitami — Otwarcie i zamknięcie akademii lwowskiej — Przyczyny upadku literatury w XVII i XVIII wieku — Anachronizmy w sądach i krytyce literatów naszych — Jezuici i oświata na Litwie — Florydacyzm i jego przyczyny — Makaronizmy — Literatura XVII i XVIII wieku nie ma jeszcze dotąd swojej historii.

V. Wpływy Jezuitów na politykę królów i państw. — Jezuici spowiednicy panujących. — Czy Jezuici mieli jaki udział w polityce Rzeczypospolitej. — Posewin i wojny moskiewskie króla Batorego. — Jezuici i Zygmunt III. — Uwagi nad Zygmuntem III. — Jezuici w sprawie Dymitrow Samozwańców. — Polityka króla Sobieskiego. — O. Wota i król Jan. — Zasługi polityczne Jezuitów w Polsce.

VI. Nietolerancya i fanatyzm Jezuitów. — Czy w Polsce były kiedy jakie prześladowania religijne. — Zygmunt III i różnowiercy. — Władysław IV i nietolerancya narodowa. — Jan Kazimierz i wypędzenie Aryanów. — Fanatyzm narodowy. — Zkąd pobożność Polaków XVII wieku. — Spalenie ateusza. — Sprawa toruńska. — Uchwały sejmów z lat 1717, 1733, 1736 — 1766. — Kozackie wojny czy były owocem nietolerancyi i fanatyzmu jezuickiego.

KSIĄDZ BISKUP ŁĘTOWSKI¹⁾.

Ilekcję bierzemy pióro do ręki w celu nakreślenia kilku rysów pamiątkowych, zebrania wspomnień osobistych i świeżych jeszcze tradycji o ludziach, którzy zgonem swoim częścią przeszłości, jej ducha, obyczaju, jej charakteru, że tak powiemy, z sobą do grobu zabierają, tych indywidualności, które nam uplastyczyły dawne społeczeństwo i z którymi zetknięcie było dla serca i umysłu młodego, jakby żywym odtworzeniem przeszłości naszej — tylekroć ogarnia nas dziwny żal, dziwna jakaś trwoga. Żal świata, który znika, a trwoga przed tym jakimś nieznanym, w jaki nas pcha ten wiek pary wszystko niszczący i wszystko zrównujący, nawet różnice dusz, rysy charakterystyczne umysłów, nawet indywidualizm człowieka.

Spieszyć nam się trzeba w naszej pracy gróbarza biograficznego, jak im było spieszo do grobu wobec przeistaczającego się nagle społeczeństwa, bo za lat parę, może za parę miesięcy, za chwil kilka cienia ich wspomnień poznikają nie wobec jutrenki, ale wobec luny zapowiadającej nową dobę cywilizacyjnego i społecznego przewrotu; bo gdy tych rysów na razie nie zbierzemy, nikt z nich całości złożyć już sobie nie zdoła. Wśród zalewu bezmyślności i negacyi, wśród wrzawy, szkalowań i kłótni dziennikarskich dziś literaturę zastępujących, w wirwarze, który nas w jednym roku o całe wieki popycha w tył, wśród gorączki walk i *saave qui peut* ogólnego, wyradzającego równie w tych, którzy chcą się ratować jak u tych, którzy szereg zniszczenie — obojętność dla tego co pozostało w przeszłości, zaginie nawet klucz do zrozumienia dawnych czasów i dawnych ludzi.

Przystępując do trudnego, choć nęcącego zadania biografii księdza biskupa Łętowskiego, drży nam ręka na myśl trudności

¹⁾ Według Jego pamiętników pozostałych w manuskrypcie.

schwycenia podobieństwa tego typu. Łączy on bowiem namaszczenie pasterza z żołnierskiej przeszłości zabytkami, szlachecką częstokroć rubasznosc i weredyczność starca mającego wysoką oglądę człowieka wielkiego świata, świetność umysłu uczonego, który z wykwintnej szkoły XVIII stulecia wyszedłszy, wśród długiego swego żywota postępował z naukowym i literackim ruchem z tą prostotą i zdrowem, jasnym pojęciem, które było przywilejem dawnego rozumu szlacheckiego; dowcip wrodzony częstokroć dotkliwy a czasem zbyt swobodny światowca, co to znał życie z wszystkich jego stron, z głęboką wiarą kapłana, wzorową surowością dla siebie a wielką miłością i miłosierdziem dla bliźnich. Wszystkie te sprzeczności charakteru śp. księdza biskupa Łętowskiego pogodzić tylko mogło to, coby można nazwać genialnem dziwactwem, oryginalnością coraz to inne strony przedstawiającą, jakby coraz to nowe niespodzianki, tworzącą całość pełną uroku, i że tak powiemy, duchowego bogactwa.

Gdy ujrzysz go w kościele z pastorałem w ręku przed ołtarzem pańskim, bezkrwawą odbywającego ofiarę, to niewyniosła ta postać z niekształtnymi rysami twarzy, osłonięta jest jakąś taką wysoką powagą pasterską a głębokiem namaszczeniem, że ci wywoła w duszy obrazy Gamratów, Prandotów, Hozyuszów, Gębickich — tak oni chyba, których dzieje skreślił on w katalogu biskupów krakowskich, unieśli nosić pastorał i błogosławić od ołtarza ludowi.

Gdy go, bywało, spotkasz w gronie towarzyskiem, bo biskup Łętowski lubił życie towarzyskie, zgromadzał często u swego stołu dobór społeczeństwa obojej płci z różnych gron i również chętnie uczęszczał do poważniejszych domów krakowskich — to jeźliś nieznany, powita cię po przedstawieniu opowieścią historyi twego rodu z kilku generacyj przez co, w niezbyt dawniej łatwym do przyjmowania nowych nabytków salonie krakowskim, udzieli ci niejako świadectwa co do familijnych tradycji. Pamiętamy pierwsze nasze przedstawienie ks. biskupowi w pewnym domu na prowincyi. Po wymienieniu nazwiska zwykłym trybem w podobnych okolicznościach, zapytał: „a którego syn, a raczej wnuk, bo ja znałem W Pana całą rodzinę — niedawno temu, bo lat z okładem pięćdziesiąt, z jednym twego imienia, Stanisławem, służyliśmy razem w gwardyi galicyjskiej w Wiedniu — był to dobór w przedniejszej młodzieży szlacheckiej, ale tak ta polonia w służbie niemieckiej dokazywała, że dla zbytniej naszej ochoty

rozwiązano gwardyę galicyjską, bobyśmy byli cały Wiedeń przewrócili do góry nogami. Z drugim jego bratem Ludwikiem, odbyliśmy razem kampanią moskiewską i przepływali obok siebie przez Berezynę; miał on przemysłnego ciurę, którego z sobą wziął od rodziców, to też nigdy głód mu nie dokuczył i gdy się chciano pożywić, to jak w dym do pana Ludwika. Z trzecim ich bratem, a twoim dziadkiem Karolem, paliliśmy cholewki do panny Ujejskiej — on jej rękę otrzymał, a ja zostałem księdzem.“

Po podobnym wstępie, który niekiedy powtarzał się, jeśli w pewnych odstępach czasu przypomniano się znajomości księdza biskupa, szły naracye o dawnych obyczajach, o stosunkach domu przedstawionego, o dawnych związkach przyjaźni. Nie rzadko, przypomnienia te nie były miłemi dla przedstawiającego się, zwłaszcza, jeśli ród i osoba zasłużyła istotnie na naganę biskupa. Lecz w razach takich wyskok prawdomowności lub dowcipu, przykre przypomnienie wynagradzała zaraz przyjacielska jakas apostrofa, tak, że nie można było uczuć urazy do starca, a niejednokrotnie wyniosło się też i nauczkę, z której skorzystać było można.

Piszący był raz świadkiem, gdy pewien młodzik przedstawiany przez gospodynię biskupowi, wyciągnął rękę do niego; biskup sądząc, że go chce pocałować podał mu rękę, a sam się nachylił, aby zwykłym zwyczajem pocałować młodzieńca w czoło. Ale przedstawiony familiarnie, jak rówieennika swego, za rękę biskupa ujawszy, uściśnął i potrząsł. Biskup jak gdyby na to zachowanie niewłaściwe nie zważał, pyta o powodzenie i zdrowie ojca, a przypominając, że go znał za młodu, dodaje: „był to człek dobrego wychowania, wiedział co komu należy i co komu oddać — znać, żeś się pan przy nim nie chował.“

Weredyeczność ks. biskupa Łętowskiego nie przechodziła nigdy w marudztwo i zbytne moralizowanie, nie ciążyła ona też towarzystwu, zawsze okraszona dowcipem, rzucała swe pociski w chwilach właściwych; czasem były to strzały ostrego naboju, częściej jednak przechodziły w tę lekką, choć nigdy czczą szermierkę słów, w której najczęściej zwyciężał, ale czasem nawet odnosił porażkę.

Z próbek tu przytoczonych, jak zresztą z szeregu anegdot, które dla swej oryginalności utrzymały się i krążą — mógłby ktoś sobie fałszywe a przynajmniej jednostronne zrobić wyobrażenie o sposobie obcowania towarzyskiego śp. ks. Łętowskiego.

Gdy do tego pociągu do żartów dodamy jeszcze pewne wojskowe zacięcie, jakie mu poniekąd pozostało i przebijało się z po za biskupiej powagi, o tej powadze słabe sobie mógłby czytelnik zrobić wyobrażenia, zwłaszcza jeżeli mu znanem słowo hr. Aleksandra Fredry, który miał powiedzieć po pobycie w Krakowie: że widział biskupa z postacią żołnierza a generała z zachowaniem biskupa, co się miało odnosić do śp. biskupa Łętowskiego i śp. generała Skrzyneckiego.

Wyobrażenie takie byłoby błędem i krzywdzącem. Mimo wyblasków dowcipu i swobody słowa, ks. biskup Łętowski rozlewał dziwną powagę na całe grono, w które wstępował, gdy wchodził w towarzystwo, jakaś go zaraz atmosfera uszanowania i czci otaczała, która nie była tylko holdem dla sukni i wieku, ale dla charakteru i osobistości, godnie ten wiek i tę suknię noszącej. Swoboda myśli i słowa wypływała u niego z pogody duszy i zacności życia.

My już dziś księdza prawie nie pojmujemy w towarzystwie; nowe obyczaje wyrugowały go ze społeczeństwa i kazały mu się tylko zamknąć w kościele. Jest-to następstwo demokratycznego poniekąd równouprawnienia, które wnikło już i do salonu, a od którego nie chroni ani próżność, ani cenzus imienia, tytułu lub mienia, bo w dzisiejszym salonie, choćby najbardziej wyłącznym, najbardziej arystokratycznym, po większej części nie ma już osobnego miejsca dla powag, niema osobnych przywilejów dla wieku i stanu. Wobec takiego równouprawnienia i niwelacyi towarzyskiej, niema też w salonie miejsca dla księdza.

Nie mówimy już o pomieszaniu wyobrażeń, wygłaszaniu zasad, jakie się często dają słyszeć nawet w tak zwanem doborowem towarzystwie, a jakich ksiądz słyszeć inaczej nie może, tylko je gromiąc i krusząc z kazalnicy lub w konfesyjonałe. My już w dzisiejszych stosunkach, powtarzam, prawie nie pojmujemy stanowiska księdza w salonie. Jako uczestnik zabawy, nie ma co robić, bo wziął on rozbrat ze światem i jego uciechami, odpowiedniego miejsca jego powadze nie pozostawiono mu wcale.

Lecz stosunek ten wykluczenia czy usunięcia się duchowieństwa ze społeczeństwa jest anormalny, jest już wpływem zepsutego ducha czasu, powiedzielibyśmy więcej, odejmuje towarzystwu charakter chrześcijański. Salon lub zebranie, w którym bez ubliżenia sobie, bez niewłaściwości nie może się znajdować ksiądz,

jest pogańską świątynią, zabawie, rozkoszom, modzie itp. bo-
żyszczom jedynie poświęconą, jest-to jakaś instytucja przejściowa
między teatrem, kasynem, buduarem itp. ogniskami życia świa-
towego.

Nie tak to dawny obyczaj polski pojmował życie towa-
rzyskie. Była to szkoła świata, ognisko socyalne, *niby* szersze
koło rodzinne, w którym młodzież uczyła się obyczajności, w któ-
rem wszystko miało swoje prawidła nie tylko form ale i ducha.
W salonie tym skrępowanym surową częstokroć towarzyską re-
gulą, zabawa szła bardziej ochoczo niż dzisiaj, nuda do niego
miała mniej przystępu pomimo pewnego przymusu, jakiego wy-
magaly obyczaje, niż teraz, kiedy zupełna swoboda jest jedyną
regulą towarzyską.

W takim salonie było miejsce odpowiednie dla duchowień-
stwa, jak było wyłączone stanowisko dla poważnych matron. Taki
też salon tradycyjnego, prawie rodzinnego życia przechował się
najdłużej w Krakowie. To też w takich poważnych ramach,
w takim kole tradycyjnie spojonem, będącem poniekąd rozsze-
rzeniem tylko rodziny — było też odpowiednie i właściwe miej-
sce dla duchownych, dla dygnitarzy kościelnych.

Rzecz to zresztą w Polsce a mianowicie w Krakowie tra-
dycyjna, bo duchowieństwo nasze było zawsze towarzyskiem, a
rzeczy można, że nie było poważnego zebrania, doborowej kom-
panii, uroczystości rodzinnej bez tego, aby mu nie przewodni-
czyli dostojnicy Kościoła. Zwłaszcza zaś kapituła krakowska bo-
гато dotowana, obsadzona zwykle ludźmi wyższego urodzenia,
nie oddzielała się od społeczeństwa. Nie było prawie rodziny
znakomitszej, aby nie liczyła powinowatego między kanonikami
krakowskimi. To też biskup krakowski i kanonicy reprezento-
wali pierwszy po królu, równy senatorom stan duchowny dawnej
stolicy królewskiej, z pewną, jakby dawniej powiedziano, prezen-
cją i ostentacją. Z przedostatnich jeszcze czasów, z czasów bi-
skupa Woronicza i biskupa Skórkowskiego przytoczyliśmy
mogli cały szereg kanoników krakowskich, których domy otwarte
dla wszystkiego, co miał Kraków poważniejszego, których udział
w zebraniach nadawał ton całemu życiu towarzyskiemu miasta.

Časy się zmieniły — majątki kapituły poszły wraz z ma-
jątkiem uniwersytetu pod sekwestr rządu rossyjskiego, tradycya
się przerwała i ustępowała stopniowo miejsca nowemu obyczajowi,

który miał osamotnić wszystkich, rozbijając tę spójność sług Kościoła ze społeczeństwem.

Ostatnimi przedstawicielami tej dawnej tradycji towarzyskiej krakowskiej był śp. ks. biskup Łętowski i świeżo zmarły ksiądz prałat Rozwadowski. Byli to jeszcze przedstawiciele dawnego polskiego, szlacheckiego duchowieństwa.

Jeżeli szlachectwo nie dodaje nic do świętności kapłańskiego zawodu, to na odwrót kapłaństwo godnie noszone, uszlachetnia samoż szlachectwo, i możnaby powiedzieć, że ksiądz szlachcic w dobrem znaczeniu tego słowa — to podwójny szlachcic. Takim zdwojonym szlachcicem, takim, gdyhy się godziło tak wyrazić, gentlemanem kapłanem był właśnie ks. Łętowski.

Wrodzone cechy szlachectwa, po rozbracie z światem i jego próżnością, acz nie dodają zacności, częstokroć dziwnego dodają uroku duchownemu stanowi. Ilez to razy z poza habitu ubogiego zakonnika, który zerwał wszystkie węzły z swoją przeszłością, aż nawet do imienia które zamienił, odbija się coś takiego, co jest wrodzonym i jeżeli nie we krwi to w nawyknieniu, w naturze się przeistoczyło i piętnem swoim odznacza ludzi szlacheznego rodu — a to znamię wrodzone, może zatrzeć jedynie własne poniżenie.

Ks. biskup Łętowski był kapłanem w całym znaczeniu tego słowa — jeżeli nie zrobił rozbratu ze światem, to wyrzekł się zupełnie jego próżności — szlachcicem jednak pozostał, i to szlachcicem starej daty. Jako kapłan i pasterz nie znał różnic stanów i nie zaliczał się też wyłącznie do żadnego, bo według nauki swego boskiego mistrza, był sługą wszystkich ubogich, niskich równie, jak wielkich i potężnych tego świata, ale jako człowiek, był szlachcicem do szpiku kości — i nie znaleźmy przedstawiciela dawnej idei szlacheckiej tak wydatnego, tak wszystkie jej cechy zachowującego, acz nie tającego sobie jej błędów i oceniającego jej ujemną i dodatnią wartość, jakim właśnie był ks. biskup. Nie był to jednak szlachcic półpanek, ani szlachcic demokrata, potępiał równie dworactwo panów za czasów saskich, jak dworactwo dla ulicy z naszych czasów, ale był to bodaj nie ostatni reprezentant tej szlacheckiej Polski, w której jądrem narodu był ten stan bez ściśle wytyczonych z góry i z dołu granic — stan szlachecki, z którego powstawało to wszystko co w górę się wznosiło, co wzrosło z roli czy z soli i z tego co boli, do którego wszystko się łączyło, co z dołu się dźwigało.

Zanim przystąpimy do opowiadania bogatych w różnorodność kolei życia śp. Łętowskiego, do czego nam ma posłużyć rękopism z historią rodziny i własną autobiografią, nie przeznaczony w całości do druku — sądzimy, że w tej wstępnej charakterystyce mającej zaznajomić czytelnika z tym odrębnym typem naszej przeszłości, najwłaściwiej będzie wyjątkami z pamiętnika pomienionego rozjaśnić tło wyobrażeń, poglądów, tradycji, na jakim rysuje nam się postać naszego biskupa. Jakoż wszelkie rezonowanie, rozbiory i porównania historyczne nie doprowadzą do takiego zrozumienia tej odrębnej idei szlachectwa polskiego, jak właśnie pełen żywych barw jej obraz jego piórem skreślony.

„Był też szlachcic szlachcicowi — pisze biskup w rzeczonym pamiętniku — równy powołaniem, dla tego słusznie mówiono: „szlachcic na zagrodzie, równa się wojewodzie“, ale nie mówiono równy wojewodzie. Człowiek człowiekowi równy nie jest ani moralnie, ani fizycznie; Radwański¹⁾ nierówny Newtonowi, ani foryś od przednich koni nierówny stangretowi co na koźle. Równy o tyle, że profesorowi pozwolone być Newtonem, a forysiewi pozwolone zostać stangretem. Szlachta nasza wenerowała karmazynów. Pytał się Zamojski: co to za nieme djable przywieźliście? na Zygmunta przybyłego do Krakowa. Możnaby tak pytać się teraz nie jednego co jak nieme djable chodzi pomiędzy nami, głupie po polsku, a co ma rozum dopiero, jak zagadasz po francuzku. Szlachta wenerowała co stało górą bez naruszenia godności swojej; szarak bowiem mógł być królem, co Leszczyński i Poniatowski. Nie była to równość fizyczna, ta równość demokratyczna na karb człowieczeństwa, wiodąca nie do równości przed prawem, ale do równości bez prawa; pyszna i podła, bo niewymagająca zasługi i zaprzeczająca własności. Szlachcic brał pana za kolana i dobrze robił, ale ręki nie wyciągał, gdy demokracja jakich u nas mamy, jeżeli wydrzeć chleba z ręki ci nie może, to żebrze, za jedno to sobie mając. Nie było też demokracji szlachetniejszej nad naszą pod klejnotem chodzącą, a nowa co się gotuje, nie wyrówna jej w cnotach, pozbawiona szkoły, to jest rodów, które ją pielęgnowały. Zacość ani się daje ani się rodzi, ale wdrażamy się do niej po domach, co mają o kilku wiekach tradycje swoje. Jakiegoż to czasu potrzeba, aby się zarło, a zapomnieliśmy na ojców naszych, a nikt o dziadku swoim

¹⁾ Znany matematyk w Krakowie.

już nie wiedział! Szlachecka demokracja, jeżeli imienia nie wyrobiła sobie, to klejnotem się popierała, a Jastrzębcyki nie ustępowały się Toporczykom, a Koźle Rogi Staremu Koniowi. Znać dla tego będą do końca świata ludzie bez rodów i ludzie o rodach, aby jednym i drugim otwartą była droga do szczęścia, fortuny i honorów: a to jest ten postęp naszego wieku, ale nie porówna on ludzi, tylko da każdemu wolność zrównać się z tobą lub ze mną, to jest z forysia zostać stangretem, z profesora Newtonem. Na tem zamykam ten konterfekt szlachcica polskiego, nie zdjęty z głowy, ale zdjęty z rodzinnej ściany, z obliczem pełnem, w zbroi na ciele, a z buzdyganem w rękę, co z podsędka nowomiejskiego wychował się na człowieka wziętego u ludzi, miłego dwóm hetmanom, przywodzącego po sejmikach, zasiadającego na trybunach, jeżdżącego na sejmy od Warszawy do Grodna¹⁾.

Konterfekt ten iście w właściwym biskupowi skreślony stylu—mieści w kilku rysach tak głębokie a razem szczytne pojęcie szlachectwa, że wszystkie dzisiejsze mrzonki socjalnej organizacyi, równości, demokracji, błędną wobec tego obrazu dawnego szlachectwa. Konterfekt ten szlachcica polskiego daje łatwiej zrozumieć tę myśl, która się snuła przez naszą przeszłość dziejową i żyła w społeczeństwie i obyczaju, która przewodniczyła twórcom konstytucyi 3 maja, w otwarciu bram dla wszystkich stanów do świątyni obywatelstwa, nie drogą niwelacyi, ale drogą uszlachetnienia i zasługi. On też doprowadza męża tradycyi, nawet stylem nieodstępującego od starego obyczaju, do tych samych konkluzyi, do jakich natchnieniem Krasiński doszedł, gdy mówił:

„Kto inaczej świat swój kresli —
Kto chce szlachtę odrzec z chwały
Z bożym ładem ten nie będzie

Bo cel światów szlachetnienie.“

To co u poety mogło być brane na karb idealizowania przeszłości, to w pamiętniku biskupa znachodzi nowe świadectwo prawdy, że w głębi idei szlacheckiej polskiej tkwił zaród wielkiej socjalnej i moralnej równowagi, że ona mieściła w sobie pojęcia demokracji, która z wolnością i tradycją pogodzić się zdola lepiej niż niwelacyjna demokracja naszych czasów.

¹⁾ Mowa tu o Stanisławie Łętowskim, podkomorzym, zmarłym w r. 1776, a będącym rodzonym dziadem biskupa.

Czy ta idea społeczna polska odrodzi się jeszcze — skoro już tak została zachwiana wpływem obcych pojęć, skoro tego sztandaru naszej przeszłości odbiega i szlachta sama, kusi się ją wyrzucić napływ obcych niwelacyjnych dążeń, skoro tradycję polską niszczy równocześnie z góry częstokroć obyczaj obcy, z dołu obce wyobrażenia i dążenia.

To też ks. biskup, świadek stopniowego zacierania się tradycyi, wynarodowiania ducha, surowo takie odstępstwa piętnuje w pamiętniku, jak karciał za życia w obcowaniu.

Oto, co pisze o dawnych posługach publicznych szlachty, o wpływie łaciny i wpływie francuzczyzny.

... „Szlachcie urzęda powiatowe i wojewódzkie nie przychodziły jak grzanka z masłem i do razu. Stanisław Łętowski, ojciec Stanisława był komornikiem, pisarzem, skarbnikiem, podstolim, sędzią grodzkim, nie licząc w to poselstw i deputacyj, nim chorążostwo go spotkało, stawał do tego pod Wiedniem i go nił po Multanach. Podobnie syn jego, Stanisław poczynał od pisarstwa nowomiejskiego, a był podstolim a pono i podczaszym, wice-starostą i sędzią grodowym, aż podkomorzym. Poselstw jego i deputacyj trudno doliczyć się, a marszałkował w Proszowicach r. 1756 i komisarzem był do ordynacyi ostrogskiej, kędy grały pomiędzy sobą najpierwsze domy. Wszystkie te i tym podobne posługi krajowe odbywały się z uszczerbkiem fortuny, zdrowia i narażeniem dobrego imienia, bądź to sędziując, bądź to posługując, bądź to deputując, mając do oglądania się na lewo i na prawo, tam gdzie silne strony, którym nieraz samo prawo ustępowało, wystawiały na trudną próbę obywatelską cnotę. Uchować swoją poczciwość, zasłużyć na zaufanie i szacunek szlachty, używać miru nie tylko w województwie swoim ale zdobyć go sobie w kraju, z możnemi domami mieć zachowanie a tronowi się nie narazić, nie było rzeczą łatwą, a szlacheckie one rzędy domawiały się nie małych zdolności po nas. Wypadało umieć po łacinie pisać i mówić, a to był pierwszy tytuł do krajowej posługi. Znakomici nasi ludzie wychowali się co do jednego na łacinie. Łaciną zpowinowaciliśmy się z tym ludem królem, którego prządliliśmy dalszą nić swobód, co macierzą cnot pięknych rozplenili je w piersiach naszych; a jeźli na drzewo złotej wolności wyrosły, po ośmiu wiekach życia, i ulegliśmy przeciwnym losom, to Rzym nie dłużej od nas bytował.

Łacina nakoniec, to gospodyni ojczyściej mowy naszej, wykształciła nasz język zdrowy i mądry, poważny, którym panujemy nad Słowiańszczyzną, a którego zachód uczy się, podziwiając jego skarby, jego bogactwa, jego piękności. Za łaciną to przyszliliśmy do tego przedmiotu, co go cnotą być, powiem, do panowania słowem, do tej wymowy, co zwiastunem duszy i życia pełnego, ulewa się na zewnątrz jak strumień wezbrany, lub powódź, przed którą ustępują góry i lasy. Przymiot wyłączny człowieka swobodnego i bogactwo narodów wolnych mówić jak się oddycha i jak się czuje i najwyższa potęga i najpiękniejsza władza udzielona ludziom, których żadne inne z stworzeń na ziemi nie dostało. Szlachta nasza ćwiczyła się też w tej sztuce na zjazdach u sąsiadów, przy weselach, po sejmach i sejmikach, z tą równością i swobodą w sercu, co rozwiązują język, a słowa są wtedy żywym obrazem duszy naszej; ta cnota dziś nas opuściła jako przymiot nie mający zawodu, a po szkołach uczą sztuki nie wymowy i mamy też deklamatorów. Wymowa kocha się w wolności, karmi swobodami, podoba w zapasach, nie lubi jarzma i pogardza szermierstwem szkolnym, a ma swój język i gramatykę, iż to nie prawda co powiedziane: *Oratores fiunt, poëtae nascuntur*, gdyż duszy dać nam nie można; jak to kładzeniem do gęby kamieni rozwiązać sobie język. Chciałem te słów kilka o przodkach naszych zapisać, których mało znamy i mało szanujemy, a dalibóg z naszą francuzczyzną nie warciliśmy rozwiązać rzemyka im u trzewików. . . .“

W innym miejscu pamiętników czytamy: „Ta szlachta nasza jadła też chleb dobrze zasłużony, prowadziła żywot twardy, wysługiwała się krajowi do późnej starości. Tyrania jej nad chłopkiem to baśń literacka, a kondycya wiejskiego ludu naszego spadać na nią nie powinna, gdyż była nie inna wtedy w całym świecie. Owszem, szlachcic nasz był dobroduszny, Boga się bojący, dla poddanego swego łaskawy, obyczajów patryarchalnych, na rodzinne związki serdeczny, a w domu gościny nadmiar. Z wyjątkowych nadużyć, daliśmy sobie wprowadzić правило i pozwolili nie tylko się okłamać przed światem, ale uwierzyliśmy sami potwarzy rzuconej na kraj własny.“

Pojmował też ks. Łętowski szlachectwo przeważnie jako ziemiaństwo i nie lubił tego zbiegostwa od pierwotnego warsztatu danego przez Opatrzność a odziedziczonego od ojców, wsi rodzinnej. Charakterystyczną też jest następująca apostrofa: „Naj-

lepsze świadectwo, gdzie s ię Bóg od szlacheckiej rodziny odsunie, taka będzie wychodziła z majątkow. Adam z Ewą wyrzuceni zostali z raju po grzechu. Jeżeli niema człowieka bez ciała, to niema szlachcica bez kawałka ziemi. Własność jest matką cnót wszystkich społecznych, a najzacniejszą własnością grzęda po ojcu. Rozum i przymioty dają ci szacunek, ale godność i władza idą za posiadłościami w ziemi.“

„Fortuna miała wtedy cel swój, kiedy teraz zbierasz na to i hartujesz przytem twoje sumienie, wymawiając się dziatkami, aby oni dobytek po tobie dostali, nie pytając się dobry czy nie dobry? grzech to powszedni, tak jak chleb powszedni. Ale pytam się: poco księdzu, aby zbierał? Widziałże kto włość nabytą przez adwokata, coby do trzeciego przeszła pokolenia, abo tak zwane krewniaki księżę coby miały w trzecim pokoleniu dobre buciki? Owa chciwość obrastania, przyrodzona do każdego posiadania, córka nieprawna miłości samego siebie, mało nawet kiedy ustępuje cnotom religijnym, godząc się czasem z różańcem i brewiarzem. Stan małżeński daje temu osłonę, ale nie myje z grzechu, a znam bezdzietnych ludzi, co sobie i potrzebnego chleba żałują. Ojcowie nasi na widok ubogiego mówili: „*pauper venit, Christus venit*, tem słowem witając kij przewieszony przez plecy z sakwami, budowali klasztory, fundowali szpitale, a nie nowina była, przyjąc Chrystusa Pana za piąte lub szóste dziecko, to jest, dać równą część ubóstwu z dziećmi rodzonemi.“

Cnoty te staropolskiego i chrześcijańskiego miłosierdzia praktykował ks. biskup Łętowski w wysokim stopniu. Pamiętamy, jak nam opowiadał, że wielkiego doznał zawstydzenia, gdy raz otwierając do kantorka, znalazł w nim kilkadziesiąt tysięcy złotych polskich. Coby powiedzieli ludzie po moim zgonie, gdyby znaleźli u księdza pieniądze, niesława okryłaby grób mój. Zaraz tedy zabrał biskup owe kilkadziesiąt tysięcy zł. polskich i zawiózł je przelożonej Sióstr Miłosierdzia, a fundusz ten stanowił kamień węgielny olbrzymiego klasztoru na Kleparzu, w którym tyle nędzy ludzkiej znajduje zaopatrzenie i przytułek.

Lecz niewątpliwie te pieniądze przypadkowo i bez świadomości biskupa zebrały się z jego dochodów w kantorku, bo miłosierdzie jego bardzo często wypróżniało mu zupełnie kieszenie. Razu jednego przyszła do biskupa uboga, bo domi jego mógł nosić owe godło: *pateat miseris et amicis* i żądała wsparcia. Biskup nie miał ani grosza przy duszy, lecz właśnie wstawał od obiadu,

nakrycie jeszcze leżało na stole. Obejrzał się i wziął łyżkę srebrną, a oddając ją ubogiej, wymawiał się, że z braku pieniędzy nie ma jej co innego ofiarować. Zdarzyło się, że tego samego dnia wieczorem pojechał odwiedzić poważną i wielce szanowaną kasztelanową W. Staruszka powitawszy biskupa, rzecze: dziwny sen dziś miałam o księdzu biskupie — śniło mi się, że widziałam księdza biskupa wznoszącego się do nieba na łyżce srebrnej. — Asani dobrodziejka żartujesz — przerwał biskup — ta uboga pewnie mnie zdradziła. — Jaka uboga, ja nic nie wiem — i wiarogodna matrona po opowiedzeniu zdarzenia poobiedniego, zdumiona zaręczała, że o czynie biskupa nic nie wiedziała, a dziwny ów sen opowiadała, nie rozumiejąc, aby on mógł mieć jakiś związek z rzeczywistością. — Jak młodzieniec zapłonil się ks. biskup, bo w uczynkach swoich nie przestał być skromnym, i można o jego miłosierdziu powiedzieć, iż lewica nie wiedziała co robi prawica.

Lecz powróćmy jeszcze do charakterystyki szlachectwa, jak ją pojmował ten szlachcic biskup, bo nam te opowiadania przeszłości, mające coś pokrewnego z rejowskim „Żywotem poczciwego człowieka“ najlepiej uwydatnią tę postać, zanim się zaznajomimy z jej dziejami.

... „Rody wyradzają się jak matka ziemia, jeżeli cnoty nie podsycalyby ich, co tylko ojczyzna daje, a patrzeć się też na karmazynów naszych, to ludzie dobrzy, ale do Niesieckiego idź, chcąc wiedzieć czem byli. Z mowy poznasz, że to kości bez szpiku a w sercu nie masz krwi herbownej. Na ustach ogląda, ale u wielu nauki kraju swego żadnej i często nawet miłości za krztę. Próżność dla historycznego imienia, a umizgi do demokracji, która nim pogardza. Mają się za czoło kraju, za rozum kraju, za siłę kraju, a o tym kraju ledwie wiedzą, ile z książek i co do koła siebie słyszą, zerwawszy z nim ogniwa wspólności. W potrzebie podskoczą, ale przy ofiarach, o jakich się podniosą, niema sensu i hartu; bez tego ognia do wielkich rzeczy, co małych godnymi czyni nawet. Są też to w znacznej części kosmopolity z mową polską na języku, a mogliby wysmienicie być Francuzami i Niemcami. Mają za światło w narodzie oglądę narodu. Poeci są im posłańcami z nieba, a oddają talentom szacunek, co należy się tylko ludziom. Na konia zaś wsiąść, gładko nimi toczyć, szablą łeb Tatarowi uciąć, całą zimę o burce się obejść, niema teraz ktoby umiał. Do polowania jeżeli wyjadą, to

dla zabawy, to też ich dzik nie podepce, ani niedźwiedź skóry im z głowy nie zedrze, ani jeleni weźmie na rogi. Z kobietami rozmawiać, polityką się bawić, obyczaje cudze chować, to dzisiejsze przymioty towarzyskie. Powiecie na to: wszyscy-że tacy? Uchowaj Boże! ale wieluż innych? Dzisiejsza też szlachta, ta co na panów się swoich zapatruje, to nie szlachta, to niedobitki. Żydzi z nas się śmieją, a chłop nie lubi i sami siebie nie szacujemy.“

„Polska była kiedyś ciałem jednolitem, patrimonium szlacheckiem, i to jej moc robiło; a dziś tego żywiołu niema, sami się go zapierając na wyłomie nie umieją umrzeć. Demokracja co z nami o lepsze idzie, dużo wody upłynie, aż stać nie będziemy sobie w drodze dla braku wyrozumienia u jednych i drugich. Nam też ciasno teraz zewsząd, bo od upadku naszego jesteśmy jak w gorączce, a jedno tylko marzymy, lecz bodajby to marzenie doprowadziło do czego nas dobrego, bo marzyć nie jest myśleć“... .

Surowy, ale czyliż nie zasłużony sąd świadczący, że sędziwy starzec żył nie tylko w przeszłości, ale z właściwą sobie trafnością oceniał i stosunki obecne, nie mogąc się z nimi pogodzić, bo one nie przystawały do obrazu społeczeństwa dawnego, którego tradycyi był on żywą skarbnicą. (C. d. n.)

P. MIERONIMA KAYSIEWICZA

LISTY

Z DRUGIEJ PODRÓŻY AMERYKAŃSKIEJ

DO BRACI I PRZYJACIÓŁ.

L i s t II.

St. Maria College, Kentucky.

Zanim się dalej obrócę, spieszę wysłać ten list z opisaniem tego co zaszło w mojej podróży od dwóch miesięcy. Jak w Berlinie kanadyjskim niespodzianie zaskoczyłem ks. Ludwika Funkena, tak w St. Agatha brata jego ks. Eugeniusza; obaj oni są dobrze znani w Ameryce, mianowicie od katolickich Niemców. W Nowym Jorku

mieszkałem razem z kapłanem przybywającym z *Far-West*, który mię się pytał, czy znam poetę ks. Eug. Funkena. Pisuje on też artykuły do Tygodników katolickich, w jednym z nich podawał myśl misjonarzy morskich, którzyby kapelanowali na statkach przepływających Atlantyk; zdaje się, że *Llyod Trysteński* na dobre o tem myśli. Ks. Ludwik Funken pisuje głównie w duchu naszej reguły o wychowaniu chrześcijańskim. Parafię św. Bonifacego odwiedziłem w sam dzień jubileuszu papieżkiego t. j. 17. czerwca. Ks. Elena nie otrzymawszy na czas okólnika od ks. biskupa, wezwał był niedzieli poprzedniej parafian na ochotnika na dzień dzisiejszy. Stawiło się tyle i więcej co w dzień świąteczny; musiał spowiadać przez sześć godzin ciągle. Powiedział mi, że starszyzna dowiedziawszy się o mojem przybyciu do Kanady, chciała mię uczcić fajerwerkami, ale im odradził, powiadając, że wyraźnie tego nie chcę, a potem dodał: moglibyście naszemu przełożonemu oddać podobną usługę, jakąście oddali N. Biskupowi, którego o mało konie nie uniosły, jakęście z nienacka pukać zaczęli. Wysłuchali rady i ograniczyli się na podaniu mi następnego adresu: „Do Przewielebnego Ojca Przełożonego głównego Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. My niżej podpisani mieszkańcy św. Bonifacego pozdrawiamy serdecznie waszą Przewielebność, i cieszymy się wielce, że go wśród nas wiedzieć możemy. Więc raz jeszcze wołamy „Witaj nam!“ a zarazem składamy nasze najprzynależniejsze dzięki, że od lat tylu zapopatrujesz nas w goliwych pasterzy, którzy wpośród nas mieszkają, i z wszelką miłością do dobrego nas prowadzą; a dzieciom naszym przystęp do wyższej nauki przez założoną szkołę otwierają. Prosimy Cię zarazem Przewielebny Ojcze, aby wielebni synowie twoi długo jeszcze wśród nas bawili, teraz szczególnie, gdy gorliwych kapłanów potrzebować będziemy...” Wszak na wieśniaków nie źle? a wiem że sami adres ten ułożyli.

Ostatni frazes wskazuje na przeczenie coraz żywiej kielkujące wśród katolików amerykańskich, że nie zawsze i niedługo już może cieszyć się będą wolnością religijną, i że tu, jak w Europie, towarzystwa tajne zaczną kościół prześladować. Przebija się też w tym adresie obawa, byśmy parafii ich nie opuścili. Gmina ta licząca 300 zamożnych dworów kmiecych głównie Alzacczyków, dokuczała wszystkim poprzednim proboszczom; bo mianowicie dawni wojskowi, ducha opozycji francuzkiej, aż tu przenieśli. Ks. Głowalski pierwszy ich przygłaskał; ale widząc, że posłany został do nowego Kollegium w Stanach Zjednoczonych, więc przypuszczają, że może nie bę-

dziemy dbali o tę dobrą parafię i całkiem ją opuścimy. Obiecałem im, że przed opuszczeniem Kanady przybędę w dzień niedzielny z nabożeństwem dla udzielenia im papieżkiego błogosławieństwa, i wróciłem do St. Agatha, by tam tego aktu nadchodzącej niedzieli dopełnić. I tu poczciwy lud gorliwie się spowiadał, modlił, i złożył 95 dolarów na św. Piotrze, wiele to, bo ta parafia mniej liczna, a przed żniwami gospodarze są bez pieniędzy. Po odbyciu pierwszych rekolekcyj z naszymi w języku polskim, udałem się w sobotę przed pierwszą niedzielą lipca do św. Klemensa nowej parafii, którą misjonarze nasi objęli po pierwszych moich odwiedzinach w Kanadzie. Z tego powodu może, przyjęli mię strzałami tak, że koń dał zrazu szczupaka. I tu było przeszło 200 komunii a nazajutrz już w dzień roboczy jeszcze ze 60. Do konfesjonaułu przychodzili do mnie niektórzy tak przestraszeni, że aż mi się śmiać chciało: za tak surowych biorą widać księży z Rzymu, a potem lada kto może na tem odludziu zaimponować.

Tymczasem wyczytałem w dziennikach sprawozdanie z dokonanego poświęcenia kościoła polskiego (św. Stanisława Kostki) przez Imci ks. biskupa Foley w Chicago. Towarzystwo mu pięciu kapłanów, mszę wykonała muzyka kościoła św. Wacława ze zwykłym Czechom mistrzostwem (mówi dziennik niemiecki), po mszy spiewanej nastąpiło bierzmowanie 300 osób, w liczbie ich wielu dojrzałych już mężczyzn i niewiast.

Imponujący pochód do kościoła z pięciu kapłanami i jedenastu marszałkami na koniach (albo niosącymi chorągwie, albo jadącymi przy chorągwi, przytroczonej pionowo do siodła luźnego konia) składało ośm bractw w liczbie 2200 mężczyzn: niektóre z nich miały do 5 mil (angielskich) do przebycia, by się dostać do polskiego kościoła.

Ksiądz Bakanowski podziękował drogą pisemną duchownym i świeckim za ten dowód bratniej miłości okazany przez współudział w uroczystości. W nadesłanem mi sprawozdaniu listownem, ks. Bakanowski pisze, że znalazł Wielebnego Arcypasterza niedomagającym ze zmęczenia, bo musiał wysłuchać dwóch kazań, i sam trzecie powiedział, dodając do tego, trudzącą ceremonię poświęcenia kościoła, sumę i bierzmowanie, przy upale w natłoczonym kościele, nie dziw przeto, że dzień taki odchorował; ale bardzo był zadowolony i dziękował ks. Bakanowskiemu, że do tak pięknego porządku Polaków doprowadził, o których był już zwątpił. Własność kościoła i plebanii przysądzono biskupowi, a używanie naszemu

Zgromadzeniu, co nie mało kosztowało trudu i kłopotu nowego proboszcza i nawet pewne nieprzyjaźni wywołało. Co robić! nic bez krzyża! A że Chicago z położenia swego może się stać ogniskiem naszych misyj polskich w Ameryce, tem bardziej trudności początkowe dziwić nie powinny. Ks. Bakanowski odwiedził już pięć stacyj polskich po za miastem do jego parafii należących (niektóre z nich leżą nawet po za obrębem prowincyi i dyecezyi), naturalnie że długo sam jeden pracy takiej podolaćby nie zdołał; da Bóg, rychło się da dostarczyć mu pomocnika.

Ks. rektor małego naszego kollegium w Berlinie zaprosił Imci Ks. Biskupa dyecezalnego, aby raczył zaszczycić obecnością swoją rozdanie nagród w dniu 6. lipca, co też łaskawie uczynił. Egzaminowano młodzież ze czterech języków: łacińskiego, angielskiego, francuzkiego i niemieckiego, z historyi św. i powszechnej, z matematyki, chemii itd. Imci ks. Biskup, obecny major miasta (protestant) i rodzice, wyraźnie byli zadowoleni z postępu uczniów. Nasz ks. Wołowski słuchał swych uczniów z historyi, arytmetyki algebry, w języku angielskim, którego w ciągu trzech lat dosyć się nauczył, że i kazać w tym języku może. Znużeniu słuchaczy zapobiegał wyborny kwintet śpiewaków złożony z młodszych członków Zgromadzenia i byłych naszych uczniów. Uderzyło mnie, że ks. Funken egzaminował jednego protestanta externa, z czasów Grzegorza VII; i że go tenże najmocniej bronił. Pytałem tedy ks. Funkena, dla czego tę kwestyę wybrał? Odpowiedział mi, że go uczeń sam o to prosił, bo w duszy jest już katolikiem; nie nacieramy, dodał, o abjuracyą, bo jak owoc dojrzeje, sam opada. Ciągle się po naszych misyach dzieją nawrócenia. Niedzieli poprzedniej w kościele św. Agaty trzech dorosłych mężczyzu rewokowało. Imci ks. Głowalski, choć czem innem zajęty, już jednego protestanta kościołowi pozyskał. Dwóch czy trzech nauczycieli po naszych parafiach mamy z nawróconych; i zwykle wyższego wykształcenia. Jednym z nich jest p. Neubronn von Isenburg oficer kąpielni. Dzieci jego dziwne postępy czynią: wobec mnie ośmioletnia dziewczynka dosyć zawile zadanie arytmetyczne w kilka minut rozwiązała, a kilku chłopaków w minutę później się sprawiło.

Nastąpiły potem tygodniowe rekolekcyje dla reszty naszych kapłanów, na które przybył i ks. Szymon Wieczorek ze swojego polskiego Paryża w Michingan. Po nich dojechałem z miesięcznem nabożeństwem do jednej z naszych stacyj w nowym Hamburgu, gdzie i kazać po niemiecku, i z konieczności słuchać spowiedzi po

angielsku musiałem. Tak mi przeszedł miesiąc z górą w Kanadzie.

Na wyjeździe otrzymałem zdanie sprawy o pobycie w Rzymie naszej deputacji do Ojca św. Dziękowałem Bogu za ten wielki akt katolicko-narodowy, i dziękuję uprzejmie jej członkom, którzy raczyli pamiętać o mnie nawet wobec Ojca św., i wywołali tę niepopolitą dla mnie pociechę, że ten W. Papież pamięta, za czem pojechałem do Ameryki i mówi: „że i tam się dobrze dla waszych robi!“ ot! gdybyśmy nie byli zmuszeni łamać się z codziennym niedostatkami, i mieli nieco zasobów, ileżbyśmy mogli więcej tu sprawić dla 100.000 blisko rodaków rozprószonych po północnej Ameryce. Ks. Gardner wikary generalny w Milwaukee, Niemiec czeski, ukwestował w całych Stanach Zjednoczonych znaczny fundusz na tak zwane Seminarjum słowiańskie, które myśli powierzyć jakiemuś Zgromadzeniu czeskiemu, a tymczasem zaopatrył już kilka miejscowości w czeskich kapłanów krajowych. Namby się taka rzecz pewno nie udała; a dziś już, dobre czasy dla kwest i tu przeszły, bo się one i wiernym sprzykrzyły, i biskupi miejscowi myśląc o potrzebach własnych dyecezyi, na własnym gruncie polować na ochotnika nie pozwalają.

Wracam do mojej podróży. Dnia 18 lipca opuściłem Kanadę. Niedaleko jeziora Huron spotkałem w wagonie kolei żelaznej rodzinę Indian, ale już osiadłych w pobliżu. Co też oni myślą sobie, patrząc na nas Europejczyków, którzyśmy ich ojcowiznę najechali; ale kwesta, czy już myślą o tem. O koczujących Indianach wiemy dobrze, że czują i cierpią nad tem, ale na próżno, skazani są fatalnie na zagładę przez nieubłagane plemię anglo-amerykańskie.

Do Detroit nie wstąpiłem, wiedząc od O. Szynona, że ks. biskup objeżdża swoją dyecezyę. Odłożyłem te odwiedziny za moim da Bóg powrotem, uprzedzając o tem listownie ks. wikarego generalnego. Nowy ten biskup wziął w kupę księży kupców i kilkunastu już zasuspendował. Jeden z nich, wcześniej przybywszy do pustej dość jeszcze prowincyi, założył wielkie rybołówstwo, fabrykę tarcic, ale z konieczności musiał i bank założyć i obracał własnym kapitałem 300.000 dolarów, zasuspendowany, poddał się; już bank zwinął. Amerykanów to nie gorszy i owszem podziwiają oni zręczność takich dobrodziejów. Ale za to ks. biskup nie daje księdza, aż gmina zapewni mu 600 dolarów rocznego dochodu, by ksiądz mógł sobie coś na stare lata odłożyć, ile że na misyach zdrowie się rychło zużywa. Założył już też dyecezalną kasę oszczędności.

Grunt tu bardziej płaski niż w Kanadzie, ślady świeżej kolonizacji wszędzie, bo pniaki drzew wyciętych nie miały jeszcze czasu pognić, choć niektóre okolicy lepsze wskazują zagospodarowanie się. Coraz więcej widać na polach kukurudzy, najlepsza wskazówka że się jedzie ku południowi. Przybyłem do Chicago rano 19.; ogromne jezioro Michigańskie podmywa szyny kolei żelaznej. Wszakże nie można tu mówić o kolei żelaznej w liczbie pojedynczej, ale o kolejach żelaznych rozchodzących się we wszystkich kierunkach. A że je budowano, gdy miasto było daleko mniejsze, idą one dziś po środku ludnych ulic, i choć częste bywają przypadki, niepodobna tego stanu rzeczy zmienić, bo dziś panują na świecie wielkie towarzystwa przemysłowe i tłómaczą się tem, że wynagradzają poranionych i rodziny zabitych; jeden żydek dostał 3000 dolarów za stratę oka i połowy szczęki i zaraz sobie kupił fermę: nie jeden z zdrości mu pewno szczęścia. Po ulicach nieustanne dzwonienie przychodzących i odchodzących pociągów; w ten sposób tylko przechodzący są ostrzegani. Ale bydlę nie rozumie tego znaku i nieraz na zrazy bywa posiekane. Podziwiałem też Opatrzność nad dziećmi, które się kręcą wciąż wśród tych pociągów, rzadko jednakże bywają pokaleczone lub zabite. Już to aniołowie Stróżowie muszą mieć tu więcej do czynienia! A z kolebki też prawie uczą dzieci amerykańskiego „*help your self*” (radź sam sobie). Chicago położone pomiędzy krainami jezior a ogromnem łóżyskiem Missisipi, wzrosło w kilku lat dziesiątkach do 300.000 ludności i przeznaczone jest dalej jeszcze się rozszerzać; aż zwykłym trybem rzeczy ludzkich zatrzyma się, a potem zacznie upadać. Czytałem świeżo, że miejscina jakaś nad Missouri przy *pacific rail road* położona obiecuje sobie, że zakasuje wszystkie wielkie obecne miasta handlowe, i stanie się centralnem ogniskiem handlu.

Na razie pilno mi się było dostać do kościółka polskiego i mszę św. zmówić; kazałem się wieść na koniec *of the noble Street*, o trzy mile angielskie od *Depot* albo dworca. Dotychczas ta *Noble Street* deskami drewnianymi zabudowana, ale jest szeroka, drzewami zasadzona, rychło będzie gazem oświetlona, i nazwa prorocza na teraz, rychło się zapewne stwierdzi. Wysiadłem w probostwie świeżem, schludnem (*cottage*), ale drzwi były zamknięte, bo ks. Bakanowski był w kościele; a jedyna jego służba, p. organista, przygrywał na organach. Przechodząca Polka widząc mój kłopot, radziła mi, bym zostawił tłumoki na ganku, że tu nikt nie ruszy: „nie głupim, moja kobieto (odpowiedziałem) idźcie do kościoła, niech ksiądz

proboszcz klucze przysze,“ i tak się stało. Kościół stoi nad szkołą pomieszczoną na dolnem piętrze i objąć może do 100 wiernych, to też już obecnie nie wystarcza i trzeba będzie dodać galerye po bokach — kosztował 18.000 dolarów. Za taką sumę można było w tym kraju nawet coś obszerniejszego i okazalszego wybudować, ale wielu było radców, wiele nianiek, więc też dziecko słabowite; główna rzecz wszakże, że już jest. Ludzie chcący Polski bez kościoła, wszystko robili co mogli, aby się parafia polska nie związała i protegowali złych księży, których się mnóstwo po Stanach Zjednoczonych włóczy; upajali ich, a potem pokazywali poczciwym rzemieślnikom i wyrobnikom, mówiąc: „oto wasi księża, za którymi przepadacie.“ Ale lud polski jak irlandzki, mają to od Boga, że nawet źli księża nie mogą im odjąć wiary. Ks. Bakanowski musiał jak Izmael walczyć na wszystkie strony, aż zawiązanie parafii przeprowadził.

Byłem u ks. biskupa i znalazłem u niego najuprzejmiejsze przyjęcie. Młody to jeszcze, piękny i dobrze ułożony prałat i dał mi wszelką władzę w dyecezyi, i prosił, bym jak najwięcej dobrego dla niej czynił. Przystał na sprowadzenie z czasem siostrz jakich polskich dla uczenia dziewcząt itd. Obecnie liczna intelligencya szuka zbliżenia do Kościoła; odwiedziło mię nawet kilku z nich, oby to wszystko było szczerze, równie jak zamiar zbudowania drugiego kościoła, na drugim końcu miasta, bo jest już do kilku tysięcy ludzi polskiej mowy.

Odwiedziłem następnie p. Doktora Piszczaka (rodem z Galicyi) i jego rodzinę, dających wciąż najżywsze dowody życzliwości dla kościoła polskiego i jego proboszcza. Odwiedził mnie następnie naczelnik kościelnych (*trustees*) p. Smarzewski rodem z Warszawy, który się tu Shermanem nazwał, by go Amerykanie wymówić mogli.

Odwiedził mię też poczciwy p. Kiołbasa, założyciel i były naczelnik towarzystwa św. Stanisława Kostki. Mając on matkę i całą rodzinę w Texas (w San Antonio) przeniósł się tam był, i bawił czas niejaki (w Panna Marya) jako nauczyciel szkółki parafialnej i organista; ale znowuż dla tęsknoty żony swojej za rodzicami, musiał wrócić do Chicago. Za jego staraniem parafia z pomocą muzyki czeskiej dała mi serenadę wieczorną, a w niedzielę podczas sumy śpiewacy i śpiewaczki tegoż narodu uświetnili nabożeństwo.

Wstępując na ambonę, gdym spojrział na wiarę polską natłoczoną w kościele w tak dalekiej obczyźnie, zbierało mi się na płacz; i już niewiasty brały się do chustek. Więc przeszedłem wraz

do objaśnienia ewangelii niedzielnej o przebiegłym włodarzu, a szczególnie onych słów, że „synowie tego świata przebieglejsi są w rodzaju swoim od synów światłości.“ Dodałem wszakże, iż niekiedy i synowie światłości dobrze sobie radzą. Uczynili tak Polacy w Chicago budując kościół i szkołę polską i ukazując nagle zdumionym krajowcom i Europejczykom innych narodowości, miasto rozszytych indywiduów, organiczną korporację. Wskazali też drogę tym, którzy się jeszcze luźnie trzymają a którzy powinni by pamiętać, iż jakkolwiek w tym kraju jest wiele różnych wyznań i kościołów, kto jednak do żadnego nie należy, jest pogardzony jako *infidel* niewierny albo poganin.

Drugim dowodem i na większą skalę jeszcze, że synowie światłości umieją niekiedy sobie dobrze radzić, była deputacya z Poznaniańskiego i Galicyi do Ojca św. z powodu Jego jubileuszu. i tu odczytałem szczegółowe sprawozdanie Fakt, że Unicy galicyjscy podpisywali się krwią własną, głębokie sprawił wrażenie. Wyciągnąłem stąd naukę, że jak burze i namiętności ludzkie dzielą, tak wspólna wiara jednoczy, że Rusini, którzy już byli poszli z Polakami na ostre noże, wraz z nimi podpisują adres do Ojca św. i to jeszcze jakim inkaustem! Na zakończenie dałem błogosławieństwo Ojca św. wraz z odpustem. Sądzę, że dzień ten sprawił miłe i głębokie wrażenie w naszych chikagańskich rodakach.

O dwóch jeszcze ciekawościach miejscowych muszę wspomnieć. Pierwsza z nich, że dwóch młodych księżąt polskich założyło tu bank i dobrze sobie radzi; dowód, że Polak do wszystkiego sposobny, byle chciał fałdów przysiedzieć, i nie wydawał nad możność. Miałem do tych panów (bo tu tytułu swego nie używają) list i pewne zlecenie; ugościli mię najuprzejmiej w domu swoim, a nadto obwieźli po mieście całym; i pod dwoma tunelami zbudowanymi pod rzeką. Nareszcie pokazali sławne *Water Works*. Chicago zbudowane na błotnej równinie nie miało dobrej wody do picia. Miasto zbudowało kanał dwumilowy pod jeziorem, ztamtąd sprowadza wodę do wieży zbudowanej w mieście, i zapomocą trzech olbrzymich machin rozsyła ją po wszystkich domach. Nadto, by się pozbyć źle woniących brudów, Chicago kosztem trzech i pół milionów dolarów zbudowało kanał kilkunastomilowy do najbliższej rzeczki wpadającej przez Ohio do Mississipi. Gdy po raz pierwszy kloaki Chicago przelały się do tej rzeki, wszystkie tam ryby pozdychały. Zdawałoby się, że ludność nadrzeczna zbuntuje się, i odeszle *retro* takie prezenta. Gdzietam! doskonały to dla nich interes (*biesnas*). Chi-

cago połączone za pomocą jezior z zatoką S. Laurent na północ; za pomocą tego kanału ma otwartą żeglugę aż do Nowego Orleanu i Golfu meksykańskiego na południe; potem świeże i częściowe transporta nie będą tak zabójcze, a potężne nurty Mississipi wszystko strawią; a więc naprzód — *go a head!* Pokazywał mi jeszcze mój książeży przewodnik dom żyjącego dotychczas w New-Yorku, założyciela miasta Chicago pana Ogdyen (jeżeli mię pamięć nie myli) na tem samem miejscu zbudowany, gdzie królik indyjski miał swój hamak: tak tu rzeczy prędko po sobie następują. Czy rasa anglo-amerykańska, która wyniszczyła Indian i sama rychło nie zaginie w masie świeżo napływających Europejczyków, mianowicie płodnych Irlandczyków i Niemców? *That is thy question.* Oni sami przeczuwają, że tak będzie i nie mogą ukryć swej niechęci do europejskich żebraków. *German and Irish beggars.*

Odbywszy się tak z Chicago, ruszyłem 25. lipca przez Indyanopolię do Luis-Ville; 300 tylko mil angielskich (dzień podróży expresse) dzieli te dwa miasta, a jakaż różnica w klimacie! Aż do Chicago i w jego okolicach czuć wiatry zimne od północy, i wilgoć od olbrzymich jezior: więc choć w dzień słońce pali, wieczory, noce chłodne i massa powietrza nigdy nie jest całkiem ogrzana. W Luis-Ville przeciwnie, znalazłem się jak w Rzymie i to w czasie kanikularnym. Zajechałem do domu uprzejmego ks. Biskupa, który nie chcąc nawet spojrzeć na moje papiery, dał mi wszelkie *facultates* w swej dyecezyi. Ale z atmosferą trudniej szło niż z ludźmi. Jakkolwiek miałem okienko otwarte na kurytarz i schody, dusiłem się jednak od gorąca w nocy. Nazajutrz ubytek sił, niesmak, nieswojość, i zacząłem wątpić, bym w tej porze roku mógł dojechać do Texas. Wyszedłem na miasto; trzecią część z okładem ludności stanowią murzyni. Rozmówiwszy się z ks. Boucher (rodowitym Francuzem) wikarym generalnym, co do naszego nowego kolegium i otrzymawszy od niego potrzebne objaśnienia, wyjechałem dla obejrzenia murów i miejscowości kolegium.

Leży ono 60 mil na południe Louis-Ville, ale w okolicy pagórkowatej. Uderzyło mię, że w wagonach zakonnice podróżowały w habitach zakonnych i nikt temu się nie dziwił. Wiedziałem, że w okolicach są Trapiści i dwa liczne pensyonaty żeńskie trzymane przez nasze zakonnice, dowód, że ludność katolicka musi tu być dość silna. Dowiedziałem się od p. Mattingly sąsiada w St. Mary's (który mię wraz z ojcem Głowalskim i ks. Vermeut proboszczem miejscowym przyjął na stacyi i powóz swój stale na usługi ofiarował) do-

wiedziałem się, mówię z przyjemnością, że okolicą całą na 6—7 mil w około St. Mary's jest czysto katolicką, tak, że jeden tylko właściciel protestant znajduje się w pobliżu, a i ten dwóch chłopców swoich chce nam oddać do kolegium. Pan Mattingly (wysoki, suchy mężczyzna, jak w ogóle ludność tutejsza) wytłumaczył mi ten fenomen tem, że okolica została kolonizowaną temu lat kilkadziesiąt przez wychodźców katolickich z Murylandu. Pojmuję teraz dla czego tak inne klasztory w okolicy, jak kolegium katolickie zostało założone w St. Mary's. Założone zaś zostało r. 1821. Ks. Flaget, Francuz rodem, uczył się sam naprzód lekcji, którą miał chłopcom wykładać i dziwił się, i gniewał się czasem, że go nie rozumieją. Z portretu jego widać, że to był poważny i energiczny człowiek. Został on następnie pierwszym biskupem w Louis-Ville. (Drugim biskupem był uczeń tego kolegium, a od roku 1864 arcybiskup baltimorski John Spalding). Następnie (1832 r.) objęli ten zakład OO. Jezuiti, i byli tu do roku 1854. Były to świetne czasy tego zakładu, który liczył 200 internów. Wszakże gdy biskup nie chciał im oddać budynków i gruntów na własność, wynieśli się do N. Yorku, i tam na przedmieściu Fordham świetne kolegium otworzyli. Po nich nastąpił ks. Lavielle, Francuz też rodem, ale gdy został biskupem w Louisville, zakład ten zaczął upadać, tak w skutek wojny domowej, i niewypłacania się podupadłych rodzin, jak z braku dobrej administracji. Wszakże w ostatnim roku swego istnienia (1867) liczył jeszcze 125 internów (*boarders*). Kolegium leży o pół mili od stacji kolei żelaznej, tejeż nazwy, do której przytykają grunta kolegium. Okrom mnóstwa zabudowań gospodarskich, gmachy kolegialne składają się z dwóch pawilonów murowanych, każdy na cztery piętra o siedmiu oknach od frontu; pawilony nie są połączone ze sobą. Do jednego z tych pawilonów przybudowana oficyna o trzech piętrach z pokojami dla profesorów i gości, z dwiema kaplicami i refektarzem osobnym.

Pawilon środkowy jest już zaczęty i od pierwszego piętra z ciosowego kamienia wyprowadzony, spory zapas cegły pozostał jeszcze, mnóstwo przygotowanego materiału do tej budowy sąsiedzi rozdrapali. Tymczasem wypadnie pałączyć gmachy te w jedną werandę albo chodnikiem krytym. Widać, że od przejścia ks. Lavielle na biskupstwo nie już w budynki nie włożono, bo zapuszczenie było większe niż je można było przypuścić po dwuletniem nieużyciu. W spiżarni stał kwatery wąż ale nieszkodliwy, są w tej prowincji grzechotniki, dalej w innych pokojach mieszkały jaszczurki; lisy,

zające biegały bezpiecznie po ogrodzie ; wszystko się to już powynosiło przed człowiekiem panem swoim, tylko *moqing bird* (oiseau moqueus) podrzeźnia wszystkich, nawet koniki polne skrzeczące chórem.

Od dwóch miesięcy wiele już ks. Głowalski naprawił i oczyścił, a za miesiąc da Bóg, reszty się dokona, co niezbędne na razie, bo zresztą i w ciągu zimy można tu budować. Ludność okoliczna interesowana, by miała gdzie tanim kosztem synów swoich wychowywać, pokazuje się bardzo chętną i hojną. Ks. Głowalski upoważniony przez ks. biskupa do kwestowania po całej diecezji, w kilku wycieczkach otrzymał 3 do 4 tysięcy dolarów w gotowiznie i bydle, głównem bogactwie tego kraju. Jak skoro będzie się mógł lepiej zastąpić w domu, puści się na dalszą objazdżkę kwestarską, pomimo upału, który go raz już był na łożo rzucił. Zdaje się, że będziemy mieli najliczniejszą klasę początkową i to konną, wszyscy tu prawie konno jeżdżą, mężczyźni i kobiety. Syn każdego fermiera (a posiadają tu oni do 1000 morgów gruntu) ma swego konia, i będą przybywali i wracali do domu konno. Tacy externi płacą tu rocznie po 50 dolarów, a prócz nauki nic się im nie daje. Wszakże i piesi uczniowie t. j. interni zgłaszają się z Louisville, Cincinnati a nawet z Arcansas. Właściwe to Ameryce, że w katalogu każdego zakładu naukowego znajdziesz tu nazwiska uczniów lub uczennic ze wszystkich prawie części Stanów Zjednoczonych, dowód, jak tu wiadomości o wszystkim przez dzienniki się rozchodzą, i jak ludność łatwo się z miejsca na miejsce przenosi. Jestem pewny, że ci, którzy się w tem kolegium uczyli, gdziekolwiek są, tu raczej chłopców swoich przyszlą; nadchodzące listy sprawdzają ten mój domysł i dowodzą wielkiej miłości uczniów do tego zakładu. Przychoǳą i okoliczni oglądać gmachy i cieszą się serdecznie, że lepsze będą porządki niż za dawnych czasów. Ile, że my tylko 200 dolarów rocznie (od internów) wymagamy, a wspomniany sąsiad p. Mattingly za dwóch synów swoich starszych do 1000 dolarów wydawał w St. Louis, chce nam teraz oddać pięciu młodszych swoich synów na półpensjonarzy. Dał już 500 dolarów na restaurację domu, i jak skoro przybyłem, zaprosił mię do siebie na ucztę, i całe sąsiedztwo sprosił. Uderzyło mię, że kobiety są dobrze ułożone, proste, skromne, przyzwoite, owoc wychowania po sąsiednich klasztorach katolickich. Objad tutejszy domowy składa się z wieprzowiny i gotowanej kukurudzy i kartofli, ale dla nas była nadto i baranina i kureczęta itd. Ale to wszystko raz po raz podawane (przez córkę gospodarza domu i jedną sąsiadkę usługującą do stołu) trzeba było

brać na ten sam talerz wszystko razem, jeden tylko ks. proboszcz Belgijczyk rodem brał potrawy z kolei, jednak na ten sam talerz. Gospodarz domu przy pierwszym stole nie jadł, siedział tylko dla zabawienia gości, należy to widać do etykiety. Dziwnie się tu zresztą krótko przy stole siedzi, popija się zwykle wodą albo mlekiem z lodem, dla nas było wszędzie i piwo i wino, ale miejscowi napojów tych prawie nie używają. Próbowałem już tej metody w domu ale pierwsza próba się nie udała, do wszystkiego się wszakże włożyć można, tylko że przeskok od *Lager-Bier* kanałyjskiego, do mleka z lodem był za nagły.

Muszę przytoczyć jako dowód świeżo zniesionego niewolnictwa, że czarna służąca przez cały czas objadu, odpędzała muchy jakąś długą wiechą. Chciał nam tę samą usługę oddawać murzyn przyjeżdżający do zgromadzenia na braciszka; aleśmy go uwolnili od trudu, zapewniając, że i muchy dla nas grzeczne i my się ich nie boimy. Mamy więc tedy i murzyna w Zgromadzeniu. Łagodna, potulna dusza, służył on już u księży, i w wolnych chwilach z pewną ostentacją śpiewa psalmy po łacinie.

Odwiedziłem też naszego proboszcza, który sprowadził tu sobie starą matkę i dwie siostry, żyje w rodzinie, gospodaruje razem z niemi, znalazłem go obcinającego zabujny płot żywy.

Trzeciego sierpnia. O naszych podróżnych z Rzymu jeszcze nie słyhać. Dodam więc tymczasem kilka uwag o duchu politycznym w tym kraju. Czytaliście w dziennikach o ostrej represyi wywieranej przez wojska i policję, w New-York na Fenianów irlandzkich, którzy nie chcieli dozwolić, aby Oranżyści paradowali po ulicach miasta. Podług prawodawstwa tutejszego nie mieli i cienia słuszności. Naprawdę wołają, że Oranżyści przysięgają na wierność panującym w Anglii, byle byli protestantami; bo to rzecz władzy miejscowej? niechby im tego przed trybunałami i opinią publiczną dowiedli, równie jak że nie mają racji egzystencyi w tym kraju; co święta prawda. Ale na ten fenomen zwracam waszą uwagę. Jakkolwiek z polecenia ks. Arcybiskupa N. Yorku wszyscy proboszczowie polecieli najmocniej katolikom, aby się do tej burdy nie mieszały, co też i uczynili, jakkolwiek Fenianie są w buncie przeciw kościołowi, i w manifestie swoim wyraźnie oświadczyli, że katolicyzm tu nie ma nic do czynienia, bo między nimi jest pełno protestantów; jedno tylko, że oni jako Irlandczycy nie mogą ścierpieć, aby tu nawet na wolnej ziemi nieprzyjaciele ich obchodzili rocznicę bitwy pod Boyne, rocznicę ujarznienia ich ojczyzny; jakkolwiek policymeni po większej

części złożeni z Irlandczyków, z wyjątkiem jednego czy dwóch, posłuchali komendy, i na własnych rodaków strzelali; pomimo tego wszystkiego, mówię, dzienniki protestanckie i ministrowie po swoich pagodach jednym głosem uderzyli na katolików jako winnych. — Czego to dowodzi? że dane zostało hasło przez lożę główną, aby wypadek ten zużytkować, dla przygotowania umysłów do prześladowania katolików. Tak zupełnie jak sekciarze niemieccy i francuzcy, wmówili landwerzystom i mobiłom, że wojnę wywołali księża i katolicy. Jak tu walczyć na broń równą z taką olbrzymią machiną do wszelkiego kłamstwa i wszelkiej nieprawości? Potęgi ich organizacyi dowodzi fakt świeży Jakiś jegomość dla pomszczenia się nad swoim sąsiadem, wykradł mu kilkunastoletnią córkę i uwiózł daleko. Po daremnych poszukiwaniach, drogą władz sądowych i policyjnych, adwokat poradził nieszczęśliwemu ojcu udać się do massonów, i córeczka wnet wytropioną została. A jest tu 500.000 wolnych murarzy (ojców rodzin, naczelników wielkich fabryk, ministrów itd.) 300.000 Oldfellow's okrom innych stu pomniejszych Można śmiało powiedzieć, że co tylko nie należy sercem całym do kościoła katolickiego, wpisane jest w tym kraju do jakiegoś towarzystwa tajnego, mówię mianowicie o ludności męzkiej (byle nie żebraczej), choć są loże i dla kobiet. I dla tego, siłą rzeczy, tleje wciąż walka ukryta między temi dwiema organizacyami; kościołem katolickim z jednej, towarzystwami tajnymi z drugiej strony; a musi przyjść do walki otwartej. Dwa te obozy zarysowały się dokładnie z powodu dogmatu o nieomylności papieżkiej. Nadto Towarzystwo tak zwanych *Know-nothings*, które przed laty kilkunastu zaczęło było otwartą wojnę z duchowieństwem naszym i kościołami katolickimi, i nagle było przycichło i jakoby się rozwiązało (snać zwiarkowawszy, że opinia publiczna jeszcze nie dość była przygotowana tj. skrzywiona); nagle się objawiło napowrót, i w Baltimore wydało manifest, wzywając, aby katolika żadnego do urzędu nie przypuścić i owszem wszędzie katolikom przeszkadzać.

Wybory tegoroczne odsłaniają żywioły domowej koalizyi pomiędzy ludnością niemiecką a angielsko-amerykańską. Do ostatnich tryunifów niemieckich w Europie, nie było gorętszych republikanów i zwolenników tutejszych instytucyj od Niemców. (Wychodźcy ich z 1848 r. wydawali prawie wszystkie dzienniki niemieckie). Widzieliśmy też, jak się zajadłe bili przeciw secesyonistom Obecnie nagle się wszystko zmieniło. Powstali *America'sj moode* Niemcy, którzy się tu majątku dorobili, i w książkach, dziennikach, publicznych *lectures*

dowodzą, że w Ameryce wszystko złe, że i tu *Fleiss* niemiecki musi zwyciężyć. Między sobą mówią poufnie, że powinny być podwójne Stany Zjednoczone. angielskie i niemieckie. niektórym do szczęścia brakuje króla niemieckiego. Wyraźnie ta sama głowa, która zużytkowała tak doskonale Niemców pracujących we Francyi, organizuje teraz nie krocie ale miliony Niemców osiadłych w Ameryce, na korzyść własnej polityki, ale gra niebezpieczna. Niechno tylko *Yankeos* przekonają się, że idzie na seryo o podział ich kraju: nastąpi wojna exterminacyjna przeciw Niemcom, do której użyją Irlandczyków, Murzynów i Indyan samych. Pierwsze starcie się odbędzie się przy obecnych wyborach. Agenci niemieccy od miesiąca upominają się, dla czego w Stanach i miejscowościach, w których ludność niemiecka przeważa, tak mało dotychczas było urzędników Niemców, i napędzają swoich leniwców do ostrej walki przy urnach wyborczych. Z drugiej strony ludność angielskiego języka dała sobie słowo, by Niemców do urzędów nie dopuścić. Zobaczymy, jaki będzie rezultat wyborów, i jakie ztąd następstwa.

Trzecim żywiołem do wojny domowej z czasem jest walka wciąż trwająca pomiędzy tutejszemi demokratami czyli konserwatorami a republikanami czyli radykalistami. Pierwsze stronnictwo składa się głównie z dawno osiadłych i zamożnych krajowców, tworzących rodzaj patrycyatu. Drugie opiera się na rewolucyjnych żywiołach, przybywających z Europy (do miast głównie) i na murzynach. To ostatnie stronnictwo dążące do centralizacji rewolucyjnej, na wzór panującej dziś w Europie, użyło pozorów filantropii, aby zgnieść Stany Południowe i rządzić tam rewolucyjnie; użyje następnie innych pozorów grożącego niebezpieczeństwa ze strony katolicyzmu czy Niemców, aby takie samo gospodarstwo w innych Stanach zaprowadzić i dojść do zniszczenia *self-governement* pojedynczych Stanów. Widzicie więc, że nie wszystko złoto co się zewnątrz świeci i że to Eldorado liberalne mieści w sobie zarody walk strasznych i rozkładu.

Dwunastego sierpnia. Przybyli nareszcie nasi od św. Klaudu-sza nauczyciele i dozorczy do kolegium. Odwiedziłem tymczasem w okolicy Trapistów w Gethseman i najliczniejszy może zakład żeński (pensjonat) bo 350 panien wychowujący. Ale to odkładam do przyszłego listu.

F R A G M E N T
z poematu III „Pieśń duszy“.

Panie! kto ta oplakana?
Dla której Mój Naród cały
Pogrobowe dziecię chwaty,
Skrzawił się jak jedna rana

To Męczennica Twoja. Widzę ją Niebiankę
Purpurową jak Jutrznie Królestwa Bożego.
Białą jak zmartwychwstań przeczystą kapłankę,
Piękną jak Archaniola dziejów świata tego!

‘O kocham ją! przepadam w macierzyste tona,
Tonę w falach rubinów, które tam jasniją!
Ale cóż to? . . . dla czego tak mi lini czerwono? . . .
— Przebóg!! . . . Krwi Mojej Matki strumienie się leją!

Przez krew patrzeć nie mogę — darmo jak Augury
Chciałam w tona Jej wnętrzu czytać przeszłe lata,
Ujrzeć przyszłość Krwi tylko widoczne mi chmury
I cierpię, a nie badam jej męczarni świata!

‘Ojczyzno! Smutna Matko tylekroć szarpana
Matko setnych boleści — jak Cię nie miłować?
O przebodła mi serce serca twego rana,
Krwia krew z niej obmyć twoją — w więzy się okowac
Ty wyzwolić z nich Ciebie — pogrzebać się żywo
Abyś Ty nam natomiast z grobu się wydarła,
I skonać krociem śmierci, byś Ty nie umarła!
‘Oto młodych mych pragnień wyzywane żywo!

Szalałam Twoją miłością. Lecz czemuż jej wary
Niezdolne prysnąć z duszy iskierką wszechmocy,
I wskreszyć Cię, o Matko! zakłębieniem ofiary,
‘Obijały się ciągle o brzeg mej niemocy?

— O! bo wszyscy dotychczas z Maryą i Martą
 Płacem tylko za Tobą, ludu nasz Łazarzu —
 Gdy tymczasem nad trzema pieczęciami zwartą
 Śmiertelną Twą mogiłą, na Męki Cmentarzu
 Nie stanął Pan, Wódz życia i Sam się nie wzruszył
 Tą tą Wszzechwładzy Boskiej, którą piekła kruszył!

Przybież nam, przybież Jezu rychło na ratunek,
 Oto którego kochasz — który kocha Ciebie
 Przygnieżdzony dziś żywcem w krzyża wizerunek,
 Spi w wezłowiach mogiły, po stu lat pogrzebie;
 I czwarta mu już doba: czwarte pokolenie —
 Już woła krociem ofiar o cud — o wskrzeszenie!...

SZKOŁA ŻEŃSKA W KRAKOWIE.

(X. X.) Rewolucya, wielka mistrzyni w podpalaniu i niszczeniu dzieł i instytucyj przekazanych nam przez wiekowe prace cywilizacji chrześcijańskiej, wielką się pokazuje nędznicą, ilekroć razy napadnie ją manja budowania. Nowy tej prawdy dowód mamy tu w Krakowie w sprawie publicznej szkoły żeńskiej. To, cośmy posiadali, co trwało przez lat 200, dosyć gładko zniweczono — a o tem co miano zbudować ani jeszcze wróble nie święgotają. Ale za to kruki rewolucyjne kraczą aż do ochrypnięcia, nic przecie wykrać nie mogą.

Nie wielka rzecz tryumfować, że się szkołę żeńską zakonną św. Jana zniszczyło, jak tryumfował dziennik *Kraj*; teraz gdy nadeszła chwila budowania, byłaby dopiero sposobność pokazać co się to rzeczywiście umie? Czekamy i niczego się jakoś doczekać nie możemy. Społeczność nasza w najgorętszych nawet zwolennikach i wyznawcach liberalnych pojęć przez ten nowy fakt przyszła do przekonania, że od trzech lat grasujący u nas kraj papierowy sprawę budowania zastępuje surogatem bajczarstwa i lamentacyi à la stara Komnacka, „że stary gród Piastów i Jagiellonów nie może się doczekać szkoły żeńskiej.“

Ależ, moi panowie, nie o to tu chodzi! Stary gród Piastów i Jagiellonów nie potrzebował czekać na szkołę żeńską publiczną, bo ją aż dotąd posiadał od lat dwustu. Wyście na tej

szkole dokazali cudów herostratowskiej sztuki — prosimy więc teraz nie o lamentacye, nie o deklamacye, ale o postawienie czegoś lepszego nad to coście zburzyli. Wy coście tacy skorzy do nauczania wszystkich o wszystkim, nauczcież teraz, kogo należy, jak, czem, gdzie i kiedy wziąć się do tego, żeby taż szkoła przecież stanęła? Codzień przemawiacie, o wielcy doktorowie narodu! codzień nauczacie o wielcy mentorowie i kierownicy kraju! tymczasem pół roku już blisko czekamy — wakacye przeszły — a tu oprócz nędznych bajek o klasztornych sprawach, oprócz wykrzykników na niedołęztwo nie wiedzieć czyje, niczego się jeszcze pod tym względem ani miasto, ani jego Rady od was nie dowiedziały.

Jeżelić to prawda, z czegoście tryumfowali, że Rada szkolna względem instytucyi wychowawczej pańien Prezentek krakowskich, była tylko wykonawczynią myśli przez was początkowanej i rozwiniętej, to poradzcież jej teraz, a przynajmniej poradzcie Radzie okręgowej krakowskiej, zkądby tu wziąć do owych 3400 reńskich rocznej subwencji, odebranej zniszczonej przez was szkole publicznej św. Jana, brakujące jeszcze przynajmniej jakie 16.000 rocznego dochodu i jakby za te 20.000 założyć szkołę nową, w którejby personale dyrektorów i profesorów przestać chciało choćby na pięć razy większej pensyi, niż owa pobierana przez zakonnice św. Jana? Dotąd mówią tylko o trzech klasach założonych przy seminaryum nauczycielek, w których na biednych dziewczeczkach, jak na chorych w klinice, panowie ex-suplenci gimnazyalni o pensyi 1400 florenów raczą uczyć panny seminarystki, jak się to wykonywują *experimenta in anima vili*.

Próżne oczekiwania, próżne nadzieje publiczności krakowskiej! Szkoły publicznej żeńskiej jak niema tak niema. Już sobie podobno trochę poradzono i panienki wyszłe z czwartej klasy byleż szkoły publicznej pp. Prezentek przyjęto na kurs pedagogiczny. Znaczy to, albo że panny Prezentki tak doskonale uczyły, iż z czwartej ich klasy wyszłe panienki są uzdolnione, jakby w projektowanej szkole mogły być dopiero po ukończeniu klasy piątej; albo też, jak się niektórzy domyślają, że dla zmniejszenia kłopotu i dla postępu sprawy oświaty przez kraj papierowy projektowanej i protegowanej, w nowem gimnazyum żeńskiem nie będzie piątej klasy. Takim sposobem o jedną klasę zmniejszysię trudność i bieda. Dwie pierwsze już podobno są, idzie tylko o dwie drugie. Zkądby ich tu wziąć?

Kraj padł na pomysł szczęśliwy i godny swej wysokiej inteligencji. Kiedy się go pytają, czy też już wymyślił owe klasy, on w krzyk, że jeszcze nieodebrano inwentarza szkolnego pannom Prezentkom — a nadto, że panny Prezentki zwodzą publiczność ogłaszając wpisy do szkół, a nie przyznając się do tego, że już szkoły nie mają.

Oto przyczyna, dla której szkoła publiczna żeńska dotąd nie mogła być założoną. I rzecz bardzo prosta, a jednak prócz inteligentnych i uczonych głów kraju, nikomu ona przez głowę nie przeszła. Żeby szkoła mogła być założoną, potrzebny jest do tego inwentarz szkolny, potrzebne są ławki, tablice, stolki, gąbka, kreda, papier, atrament itd. a tu jeszcze tego wszystkiego nie odebrano pp. Prezentkom — i owszem o zgrozo! tego inwentarza pp. Prezentki używają w swojej szkole.

W jakiej szkole, kiedy jej nie mają? Czyż to *Kraj* nie zdecydował, że odjęcie subwencji i usunięcie z klasztoru pp. Prezentek kursu pedagogicznego, jest to samo, co odjęcie wszelkiego prawa szkoły? Ktoś na to odpowiedzieć się powążył: „Ależ pp. Prezentki przed nadaniem sobie subwencji przez rząd w r. 1802 posiadały szkołę przez lat z górą 130, to widać, że subwencya nie jest *conditio sine qua non* do prawa posiadania szkoły. Królowie polscy dyplomami swemi szkołę tę założoną przez pobożną obywatelkę krakowską zatwierdzili i polecieli szczególniejszej opiece magistratów — czemużby więc odjęcie subwencji nadanej w 130 lat po założeniu tej szkoły, a nadanej przez rząd austriacki, miało decydować o zupełnej zagładzie tej jedynej żeńskiej szkoły polskiej?” Ale *Kraj* patryotyczny ani o tem słyszeć nie chce. Według niego obłudny ten patryotyzm nie zasługuje na wysokie jego względy i powinien ustąpić, gdy idzie o sprawę tak wielką jak sprawa oświaty, sprawa wykształcenia niewiast, żeby jak najprędzej mogły rozjaśnić ten ciemny, ultramontański Kraków, blaskiem podobnych prelekcyi, jakimś świetne internacyonalki wślawiły tego roku Lausannę. Nie pomogą więc żadne patryotyczne figle, żadne powoływania się na dyplomy królów polskich. *Kraj* zapytuje, kraj, który sam o szczerości patryotyzmu i o potrzebach i warunkach oświaty ma prawo wyrokować, on zapytuje i nie da się zbyć jakąś odpowiedzią wymijającą: „jakim prawem panny prezentki mają szkołę, kiedy im odebrano subwencję? Kto pozwolił bez pozwolenia Kraju papierowego? Kto taki zuchwwały? Ministerjum, czy Rada szkolna krajowa, czy okręgowa?”

Kraj pyta — nikt nie odpowiada!

Kiedy tak, a więc róbcieź sobie sami! *Kraj* odtąd schodzi, opuszcza pod względem tej sprawy swoją *sedem magistralem*, zajmuje na czas jakiś stanowisko wyłącznie obserwacyjne, krytyczne i lamentacyjne, a was będzie stawał nieubłaganie przed trybunał opinii publicznej. On sam już wam ani słowa nie powie, co macie robić, ażebyście do założenia tej szkoły doszli podobnie szczęśliwie, jakżeście doszli, idąc przez niego natchnieni, kierowani i rządzeni do zniszczenia szkoły, którą dotąd przez dwa wieki cieszyło się miasto. Nie! *Kraj* już wam nic nie powie! On potrzebuje mieć *tabulam rasam*. On nie może rozpocząć budowania szkoły, której chce, dopóki istnieje choćby proch ze szkoły, której on nie chce.

Oto są przyczyny, dla których szkoły żeńskiej publicznej niema. Nie odebrano zakonnikom inwentarza i pozwolono im bez pozwolenia *Kraju* zajmować się prywatnie wychowaniem.

Na wszelki przypadek, gdyby te dwie przyczyny nie wystarczyły — Krajowicze mają jeszcze w odwodzie kilka innych, w które już nie na żarty uderzyli.

Zakonnice mając sobie nie wiedzieć za co odjętą subwencję, miały sobie, jak powiedzieliśmy, zostawione prawo prywatnego wychowania. Rada szkolna nie chciała iść tak daleko jak zakroił *Kraj*, i przewidując, że szkoły tak się łatwo nie zakładają, jak się łatwo znoszą, albo jak łatwo zakłada się dziennik mający esencjonalnie służyć celom wyższym czy głębszym, a przypadkowo służyć rządowi, jeźliby się tenże zbyt natarczywie napierał o zwrot zaległych opłat stemplowych — biorąc też na uwagę, że wobec opinii kraju realnego zniesienie jedynej historycznej polskiej szkoły żeńskiej, takby jej łatwo nie uszło, jak uchodzi dziennikowi o tyle polskiemu, o ile tego wymaga interes żydowskiego liberalizmu, szkołę, jak powiedziałem, zostawiła pannom Prezentkom.

A panny prezentki cóż czynią? Ogłaszają wpisy, a przychodzącym z panienkami do wpisu rodzicom i opiekunom oświadczają, że ponieważ odjętą im została subwencya i nie miałyby nawet za co pieców w szkole opalić, ani same co w usta włożyć, zatem przyjmować będą tylko za opłatą jeden reński na miesiąc od panienek w dwóch pierwszych klasach, a dwa reńskie na miesiąc w trzech klasach wyższych. Wynagrodzenie bardzo skromne, bo choćby się dwieście panienek zgłosiło i choćby połowa przy-

padła na dwie pierwsze klasy a druga połowa na trzy wyższe, i choćby wszystkie co do jednej zapłaciły, wypadłoby rocznie od wszystkich razem 3000 reńskich; więc nawet nie wypadłoby tyle, ile wynosiła pobierana przedtem subwencya.

Taksa? opłata? jakim prawem? za czyjem pozwoleniem? zapytuje znowu *Kraj* — i to w tym samym artykule zapytuje, w którym rad nie rad przyjął do swej wiadomości, że pannom Prezentkom pozostała prawnie szkoła prywatna.

Gdy zapytanie nie pomogło, albowiem do zapytań *Kraju* tak się już przyzwyczajono, jak byliśmy w Krakowie przyzwyczajeni, zwłaszcza mieszkający koło wielkich świątyń, do krakania wron — i nikt na nie odpowiadać nie myślał — gdy mówię, zapytanie to mimo groźnej, twardej akcentuacji nie skutkowało, a *Kraj* dowiedział się z hoku, że w pewnej radzie z owej kwestyi taksy już zrobiono kwestyę życia lub śmierci dla zakonnej szkoły — wtedy doniósł, że panny Prezentki chcą oszukać publiczność i nie powiedziawszy nic o taksie, ogłaszają wpisy.

Ktoś znowu natrącił, że żadna ze szkół prywatnych przy ogłaszaniu wpisów taksy nie ogłasza — ale ta uwaga nie pomogła wobec miłośników i protektorów równości a nieprzyjaciół przywileju i monopolu. Podług ich wyroku, panny Prezentki tego prawa nie miały, które służyło innym, więc powinny były dla odstraszenia od swej szkoły rodziców i opiekunów mających się wychowywać panienek, donieść przy ogłoszeniu o wpisach, że będą opłatę pobierać, a nawet powinny były zawiadomić, że ta opłata będzie uciążliwą, wygórowaną. A ponieważ tego nie uczyniły, przeto *Kraj* sprawiedliwie przeciw nim głos swój podniósł, a publiczności, czy Radom szkolnym doniósł, że z powodu żądanej opłaty mnóstwo rodziców odchodzi od furty z lamentami i płaczami.

Ploratus et ululatus! Cóż to się działo w onych dniach! Jęk się rozlegał po całej Świętojańskiej ulicy, przez wielki i mały rynek aż na Mikołajską ulicę do redakcyi *Kraju*, a tam się odbił o czułe serca wielbicieli komuny paryzkiej i cywilizacyjnych wysiłeni popieranych przez *Gołos* i organ Katkowa! *Kraj* uderzył w taki lament, jakiego u nas nie słyszano od czasu wyzwolenia Barbary Ubrykówny.

Nie wiem czego ci rodzice płakali i lamentowali na takse; nie wiem dla czego odchodząc od furty św. Jana, tak się ukoić nie mogli, jak to widział *Kraj* na własne swoje oczy, może gdzie

z okien *vis-à-vis*, — *Kraj* bowiem i tym sposobem przychodzi do wiadomości (zob. nr. z d. 7. września o exorcyzmowaniu jakiejś kobiety). Gdybym ja słyszał te płacze i lamenta, tobym tak mniej więcej płaczących pocieszał: „Moi państwo! nie chcecie zapłacić taksy a mimo tego chcecie w szkole umieścić wasze córki? Idźcież do szkoły, na którą odebrano pannom Prezentkom pobierane dawniej 3400 reńskich. A jeśli nie wiecie, gdzie jest ta szkoła, to idźcie i zapytajcie się w redakcyi *Kraju*. Zamiast zresztą płakać i lamentować, idźcie raczej do tych panów roztkliwiających się nad wami i zapytajcie ich, dla czego spowodowali wydarcie subwencji pp. Prezentkom, którą póki pobierały, póty kontentując się pensyami, za jakie nie chciałyby wam służyć najlepszych nauczycielki, grosza od nikogo nie żądały. Chcecie zaś koniecznie umieścić teraz w szkole św. Jana wasze córki, a nie macie czem opłacić taksy, to idźcież do tych panów i żądajcie, niech wam dadzą na opłatę, bo jużcie to, że zakonnice chcą poświęcić swe prace i swoje życie wychowaniu waszych córek, przyznajcie, że niekoniecznie pociąga za sobą obowiązek podjęcia śmierci głodowej.“

Takbyśmy ich koili, i takbyśmy im radzili, i myślę, żeby się prędko uspokoili — bo o ile wiemy od zakonnice, to najbiedniejszy nawet z owych rodziców uznawali słuszność w żądaniu opłaty i twierdzili, że ta opłata zbyt była niska, aby mógł ktoś na nią narzekać.

Nie wchodząc w to, o ile jest prawdą, że ktoś piszący do *Kraju* o szkole św. Jana, widział i słyszał owe narzekania i lamenty — rozumiemy do czego tych lamentów i narzekań tak mu było potrzeba. Potrzeba ich było jako odpowiedzi na rzeczywiste narzekania obywatelstwa, które pozbawione dotychczasowej szkoły żeńskiej publicznej w zakładzie pp. Prezentek, nie może się doczekać szkoły publicznej miejskiej, o założeniu której tyle już nagadano i napisano. Obywatelstwo coraz głośniej się zapytuje, jakim prawem pannom Prezentkom została odjęta subwencya?

Karmelitankom krakowskim rząd płacił nie subwencyę prawem państwa zapewnioną, ale prostą zapomogę *à conto* mających się kiedyś odebrać majątków i dochodów zasekwestrowanych przez rząd rossyjski — i oto, aby im tę zapomogę, albo pożyczkę rządową odebrać, trzeba było rozporządzenia ministerjalnego. Owszem i to jeszcze nie było jakoś w porządku, jak utrzymywał

poseł Zyblikiewicz i jak z nim utrzymywała znaczna część sejmu galicyjskiego.

Prezentkom rząd płacił subwencję nie *à conto* zatrzymanych w królestwie Polskiem dochodów, które zresztą były bardzo mało znaczne, lecz płacił subwencję najwyższem rozporządzeniem cesarskiem jeszcze w epoce między rokiem 1802 a 1806 zadekretowaną a potem przez Władzę prawodawczą byłej Rzeczypospolitej krakowskiej do dziennika praw przyjętą. I oto dzisiaj, nie przez Władzę ustawodawczą, nie przez najwyższą Władzę państwa, ale przez podrzędną Władzę autonomiczną, subwencya ta zostaje bez najmniejszego przytoczenia powodów odjętą. Pytamy się, czy to jest w porządku i czy sprawiedliwość, prawdziwa miłość instytucyj ojczystych wychowawczych, jak niemniej szacunek a przynajmniej jakiś prosty wzgląd dla rozporządzeń najwyższej Władzy państwa, nie powinienby spowodować którego z naszych reprezentantów do interpelowania, jakim to sposobem stać się mogło?

Nie wiemy, jak poseł Zyblikiewicz usposobiony jest dla biednych zakonnic św. Jana, i czy, nie dzieli smutnych uprzedzeń swego kolegi Weigla, którym się najprzód posłużono w wojnie wytoczonej szkole wspomnianych zakonnic. Mamy przecież niepłonną nadzieję, że gdyby p. Zyblikiewiczowi należycie całą tę sprawę przedstawiono, to tryumfy *Kraju* bardzoby poblady. Kto w takich jak te czasach, bez względu na sądy opinii organów antireligijnych, zdolnym był wziąć w tak gorącą obronę sprawę uciśnionej niewinności i pogwałconej sprawiedliwości, chociaż to była sprawa katolików, chociaż to wśród katolików była sprawa zakonnic klauzurowanych, modlitwie wyłącznie poświęconych, a co największa, chociaż to była sprawa Karmelitanek, przez wysokie nawet powagi bez sądu potępionych, ten zaiste znalazłby w swem szlachetnem i odważnem sercu dość powodów do wzięcia w obronę sprawy zakonnic dwuwiekową pracą wychowania zasłużonych naszemu miastu i krajowi, i sprawie tej dałby z pewnością inny obrót niżeli ów, który wzięła może na jakąś korzyść nieznaną nam i nieznaną miastu, ale z pewnością nie na korzyść słuszności, ani na korzyść oświaty.

Jeżeli katolicy naszego miasta zachowają dla obrońcy Karmelitanek wdzięczne i niewygasłe wspomnienie, choćby podjęta przezeń obrona nie miała być uwieńczona oczekiwanym skutkiem, to jest powrotem odebranej Karmelitankom zaponogi, to mamy

przekonanie, że gdyby tenże obrońca zechciał przyjąć sprawę szkoły pp. Prezentek, wówczas wdzięczność Krakowian już nie samym tylko odpowiedziałaby dobrym jego chęciom, ale najpożądańszemu rezultatowi obrony. Gród Piastów i Jagiellonów nie potrzebowałby już czekać na szkołę żeńską publiczną, boby odzyskał dotąd posiadaną, a pannom Prezentkom, uwolnionym od niepokojących Zgromadzenie ich żywiołów, dostarczyłby się nowy wielki powód do oddania się sprawie wychowania publicznego z nieograniczonym poświęceniem.

Szanowny poseł Weigel, którego wymową i obywatelskim zapałem posłużyła się w Radzie miejskiej krakowskiej zręcznie ukartowana intryga przez podstępne przedstawienie mu zmyślnych całkiem albo wykrzywionych faktów — myślę, że byłby rad ze sposobności naprawienia złego, do którego wprowadzony w błąd, z dobrą działającą wiarą, nie mało się mimowoli przyczynił. Nic łatwiejszego, jak sprawdzić przez bliższe własnymi oczyma przypatrzenie się tej sprawie, jak się ona ma rzeczywiście? P. Weigel niewiele potrzebowałby podjąć trudu, aby się przekonał jak dalece ci, których pod tym względem doniesieniom zawierzył, rachowali na jego prawy i niezdolny podejrzenia umysł — i aby się przekonał, że jeżeli panny Prezentki czem zawiniły, to tem tylko, że nie przypuszczając, aby tak dalece w spotwarzaniu ich zakładu sięgała złość ich nieprzyjaciół, nie pospieszyły z przedstawieniem istotnego stanu rzeczy tam, gdzie przez interpelację szanownego Rady ich losy w tak smutny sposób poczęły się rozstrzygać.

Jeżeli dobrze myślący Krakowianie pragną gorąco, aby tę sprawę podjął p. Zyblikiewicz i pełni są nadziei, że w takich rękach wzięłaby najszcześniejszy obrót, to są także przekonani, że niktby nie miał ani tyle sposobności i łatwości, ani tyle obowiązku, ile p. Weigel, aby onę sprawę rozjaśnić, i rozjaśnioną w ręce szlachetnego obrońcy złożyć.

Gdyby taka interwencja, mimo wielu nieprzemawiających za nią okoliczności, została w ten sposób podniesioną na rzecz pp. Prezentek, czyli na rzecz sprawiedliwości będącej po ich stronie a zaciemnionej i pogwałconej przez nieprzychylnie im stronnictwo, to zdaje nam się, że głównie wypadaloby wziąć pod rozwagę: 1-o. z jakiego źródła i z jakiej epoki. wyniknęła odjęta im subwencja. 2-o. czy ją władza kompetentna odebrała. Nakoniec 3-o. za co właściwie odjęta została subwencja? — O powodach

bowiem, mimo głoszonej za dni naszych jawności postępowania, miasto nasze nic właściwie nie wie, pannom zaś Prezentkom zakomunikowano tylko rodzaj ukazu, że odtąd nic nie dostaną.

Ostatnia z tych trzech kwestyj wymagałaby szczególniejszego zbadania. Gdybyśmy żyli w epoce rządów najabsolutniejszych, to przecież decyzja odejmująca zakładowi naukowemu dochód dekretami najwyższej władzy zapewniony i przez lat siedmdziesiąt nieprzerwanie pobierany, musiałaby być jako tako umotywowaną, zakład zaś tym sposobem ukarany miałby prawo zapytać, za jaką winę ukaranym został? Rządowi absolutnemu służyłoby może prawo odpowiedzieć na taką interpelację, że nie ma potrzeby tłumaczyć się ze swego postępowania, i że jak z własnej woli subwencyę przeznaczył, tak ją z własnej woli cofnąć może. Nie sądzimy jednak, aby taka odpowiedź była w tym przypadku możebną w epoce rządów konstytucyjnych. Gdyby zresztą i pod rządami konstytucyjnym postanowienie cofające subwencyę bez przytoczenia powodów wyszło z zakresu władzy najwyższej, z kąd dawniej wyszło postanowienie ową subwencyę nadające, jeszczeby to jakoś było do zrozumienia — ale żeby w epoce konstytucyjnej władze podrzędne, a choćby nawet i samo ministerium mogło sprawę taką załatwić decyzją absolutną, to doprawdy jest nie do pojęcia i nie do uwierzenia.

Dzienniki liberalne, pomimo swej gorliwości o swobody konstytucyjne, znalazły przecież to postępowanie prawidłowem i nic przeciwko niemu nie miały do powiedzenia. Bez względu nawet na to praktyczne zdanie: *hodie mihi, eras tibi* zamknęły one oczy na stworzony owem postępowaniem *precedens* mogący się stać dla nich samych groźnym przy pierwszej lepszej zmianie personalu władz autonomicznych, i nic lepszego nie miały do zrobienia, jak przyklaskiwać tego rodzaju ukazom, tem samem już usprawiedliwionym, dobrym, pożytecznym, zbawiennym, że są wymierzone przeciw instytucji katolickiej.

Kraj udaje nawet, że wie jakim prawem i za co subwencya szkole pp. Prezentek została odjęta. P. Gumplowicz tak straszliwie w tych ostatnich dniach zburzony i zgorszony postępowaniem prokuratora sądowego, i tak zraniony w swem liberalnem sumieniu, nie tem, że prokurator postąpił sobie absolutnie, (gdyż jak widocznem jest z rozprawy sądowej, prokurator dostatecznie postępowanie swoje umotywował), ale tem, że nie chciał zastosować się do pojmovania prawa w myśl obrońcy zanadto

zrosłego z klientem. — P. Gumplowicz tedy mimo całej swej czułości konstytucyjnej i liberalnej drażliwości, znajdował rzeczą dla dziennika swego bardzo odpowiednią, zaszczytną i pożyteczną drukować w nim artykuły nie tylko pochwalające absolutne postępowanie względem zakładu pp. Prezentek, ale nadto artykuły prowokujące jeszcze absolutniejszą surowość z wszystkimi jej następstwami.

Cóż z tego, że ani panny Prezentki ani publiczność krakowska nic nie wiedzą o powodach tej surowości? — To jeszcze antikonstytucyjnego postępowania nie stanowi, jak skoro organa liberalne o powodach wiedzą. Kwestya jawności nie ma tam zastosowania, gdzie jej organa liberalne ani potrzebują ani chcą. *Kraj* wie w Krakowie, *Dziennik Polski* we Lwowie, *Tygodnik Wielkopolski* w Poznańskim — a skoro te redakcyje o czem wiedzą, i nie chcą, aby ktoś inny o tem samym wiedział — to naturalnie o jawności mowy być nie może i jawność taka byłaby antiliberalna i antipostępowa, jak jest antiliberalna i antipostępowa wolność, której te redakcyje nie chcą.

Ale bo czegoż organa liberalne nie wiedzą, odkąd się zaczęła mowa o potrzebie autonomicznej policyi. *Kraj* nawet podług ostatnich wskazówek daje do zrozumienia, że subwencya została odjęta za to, iż „zakonnicom ze zgromadzenia pp. Prezentek posiadającym szacunek i uznanie (może nawet dyplom na genialność i na świętość) odjęty został główny kierunek szkoły. Nie tylko subwencya, zdaniem *Kraju*, ale nawet prawo wychowania powinno być odjęte zgromadzeniu zakonnemu, które zamiast iść ślepo za wymaganiami ulicznej lub gazeciarskiej opinii, powodować się chce rozkazami swoich właściwych przełożonych. *Kraj* wynalazł nową kanoniczną zasadę, według której, jeżeli zgromadzenie zakonne zajmuje się wychowaniem, natenczas między władzą zgromadzenia i jego członkami ustają *eo ipso* wszelkie stosunki posłuszeństwa.

Zakonnice zgromadzenia pp. Prezentek zobowiązują się słubami 1-o do posłuszeństwa ustawom i przełożonym; 2-o do pracowania w szkole w charakterze nie jakiejś świeckiej nauczycielki ale w charakterze zakonnym; inaczej nie byłaby to szkoła klasztorna, zakonna, zakonnicy bowiem nie stanowi przecież sam habit. Ale to wszystko nic nie znaczy. Zakonnica mądra, pobożna i święta podług *Kraju* powinna oczy zamknąć na to, co jako zakonnica mająca się zajmować szkołą zaprzysięgła

a w jednym z najistotniejszych swojego stanu obowiązków powinna słuchać, nie co jej nakaże władza zakonna i zakonna reguła, której przysięgła posłuszeństwo, ale co jej czynić każe opinia reprezentowana przez *Kraj*, przez *Dziennik Polski* i *Tygodnik Wielkopolski*.

Poważnie o tej rzeczy rozumującym powiedzielibyśmy, „albo pozwalacie na szkoły zakonne, a wtedy pozwólcie w logicznym następstwie, aby zakony pracowały nad wychowaniem jako zakony, albo chcecie aby zakony dla tego, że się trudnią wychowaniem, przestały być zakonami, a w takim razie chcecie rzeczy niemożliwej i dla wychowania szkodliwej. Jakżeby bowiem zakonnice mogły korzystnie pracować w zawodzie szkolnym i kształcić zwłaszcza moralnie wasze córki, siostry lub wychowanki, jeżeli, aby wychowywały, muszą zacząć od niemoralności, to jest od podeptania przysięgi uczynionej Bogu?

Niemoralność? Ależ wojna przeciwko szkole pp. Prezentek podniesioną została w imię moralności. Nie mówiąc już o mocy podniesionej niejednokrotnie na posiedzeniach Rady miejskiej krakowskiej, któż nie wie, że dzienniki liberalne, te nawet, które nas obdarzają tłumaczeniem moskiewskich powieści właśnie w sprawie moralności, i tylko przez miłość tej sprawy pracowały nad zniszczeniem szkoły żeńskiej św. Jana. Ale tu mowa nie o jakiejś ultramontańskiej, katolickiej, religijnej moralności, tylko o moralności, której się domaga duch czasu. Ta zaś moralność bynajmniej się nie troszczy o zachowanie ślubów zakonnych, ani za grzech przeciwko sobie uważa owych ślubów podeptanie — bo ona raczej miałaby za grzech, za zbrodnię stosowanie się do tych ślubów przeciw wymaganiom ducha czasu.

Z drugiej strony, alboż organa liberalne nie oświadczają się od czasu do czasu, że nie chcą walczyć przeciw religii, ani przeciwko instytucjom religijnym, ale biorą tylko w obronę sprawę uciśniętych przeciw stronie uciskającej — biorą w obronę sprawę moralności zagrożonej przez nadużycia władzy zakonnej. Owszem, owszem, one nawet walczą w obronie samychże owych instytucji zakonnych i to znowu przez gorliwość dla sprawy moralności, bo one mają za niemoralność gwałcenie praw zakonnych przez tyranję, przez ambycję lub zresztą przez głupotę przełożonych klasztornych i przez uprzedzenia władzy duchownej. One walczą w obronie instytucji zakonnych, gdy przeciw tym lub owym indywiduom w zakonie występują, nie chcąc, aby rzecz sama

dla ich niegodziwości albo dla ich ciemnoty cierpiała, i podnosząc obronę indywidualuów znacznych, oświeconych, na działaniu których swobodnem i niezem niekrępowanem byt i pożyteczność owych instytucyj polega.

Dzienniki antireligijne w napaściach swoich na zakonną szkołę św. Jana, nie tylko się z tem nie tają, ale owszem za każdą razą powtórzonej walki wyraźnie wypowiadają, że w tej wojnie o nic innego nie chodzi, tylko o zdobycie dla panny Bogumiły Remer, byłej zakonnicy zgromadzenia pp. Prezenteł autokratycznej władzy w pomienionej szkole. Wiemy że panowie redaktorowie owych dzienników nie powodują się w tej mierze jakąś osobistością. Mniemamy że dla redakcyi *Kraju*, *Dziennika Polskiego* i *Tygodnika Wielkopolskiego* i tym podobnych publikacyj, osobistość panny Remer albo całkiem jest nieznaną, albo bardzo mało znaną, że zatem osobistość ta wcale ich nie obchodzi. Ale co tym redakcyom bardzo jest na rękę i z czego na wszelkie sposoby korzystają, to że osobistość owa przez postawienie się opozycyjne względem ustaw Zgromadzenia, do którego należała, i względem władzy tegoż Zgromadzenia staje się dla ich wyższych celów i głębszych widoków pożytecznym bardzo instrumentem.

Dziennikom tak zwanym liberalnym idzie głównie o wyparcie z wszystkich stanowisk społecznych, a więc o wyparcie przedewszystkiem z instytucyj wychowawczych nietylko już wszelkiego nadzoru i kierunku, nietylko wszelkiego wpływu, ale nawet z wszelkiego cośkolwiek znaczącego udziału kościoła i religii katolickiej. W jednym duchu, za jednym hasłem i pod temiż samemi rozkazami działając w tym celu na wszystkich punktach ucywilizowanego świata, nie różnią się one w stawianiu swoich inicjatyw, w popieraniu swych dążeń. Rozumowania Pawliszczewa, Krajewskiego, Katkowa, są pod względem ducha i dążeń ostatecznej *ad litteram* takie same, jak rozumowania naszych liberalnych znakomitości i nieznakomitości. Różnice bywają ogromne ale nigdy pod względem ducha i dążeń, tylko pod względem formy. Naturalnie, że taki p. Edmund Callier, pod względem zdolności redagowania litość tylko wzbudzałby w Katkowie, ale to co on umieszcza w swoim *Tygodniku*, denuncyując np. spowiedników, którym, jak dobrze wiadomo, żadna nie służy obrona, podsuwając nieznacznie projekt zniesienia spowiedzi po szkołach, projekt kontrolowania spowiedników w konfesyonale, jest tylko

powtórzeniem insynuacji i dowodzeń od ośmiu lat podnoszonych i skutecznie przeprowadzonych przez publicystów schyzmatycznych i nihilistycznych na Litwie i Wołyniu, oraz w Polsce kongresowej.

U naszych panów nihilistów galicyjskich i poznańskich brakuje tylko wyraźnych konkluzyj. Nie czują oni jeszcze za swemi plecami owych powag egzekucyjnych, na jakich się opierali i opierają ich mistrze i koledzy pod rządem rosyjskim. Nie mają za sobą Murawiewów, Kaufmannów, Bezaków i Czerkaskich. Konkluzye u nich byłyby przedwczesne, byłyby kompromitujące wobec publiczności, którą do czasu durzyć jeszcze trzeba i przekonywać, że w ciskaniach się na instytucye i działania religijne idzie im tylko o ratowanie rzeczy religijnej kompromitowanej przez indywidua.

Przyjdzie czas i na konkluzye. Nasze liberały tymczasem to prekursory. Oni uprzedzają przed oblicznością mesyjasza nihilizmu moskiewskiego, aby zgotować drogi jego, bo mesyjasz nihilizmu zachodniego jakoś nie dopisuje. Pod rządem rossyjskim z rozumowań antikatolickich zaraz się robią praktyczne wnioski i zaraz się egzekwują. U nas ma to się dokonać w danej chwili. Tam za takimi denuncyacjami jak owa w *Tygodniku* p. Callier o tem, co spowiednik mówi uczniom na spowiedzi, idą w te tropy ukazy skazujące spowiedników do katorżnych robót lub na rekolekcyje w głąb Rossyi, oraz ukazy reformujące działanie spowiedników w zakresie sumień katolickich, jak niemniej ukazy polecające, aby uczniowie spowiadali się tylko przed wybrańcami rządowymi, póki się spowiedź nie zniesie całkiem pod zagrożeniem Sybiru. U nas zaś denuncyacya taka musi chwilowo pozostać bez skutku — ale chwilowo tylko, jak się pocieszają niecierpliwieni coraz widoczniej prekursorowie owego gospodarstwa.

Toż samo więc i co do szkół zakonnych, pod rządem rosyjskim rzecz już dawno załatwiona. Wychowanie zakonnicom odjęte a z prawem wychowania odjęte prawo własności i prawo życia.

A rząd rossyjski miał też w wykonaniu tego dzieła na uwadze pewne względy słuszności, moralności, oświaty, a nawet wolności. W pewnym naprzykład instytucie znalazła się jakaś zakonnica najniewinniej prześladowana, tyranizowana, męczona za to tylko, że podług ducha czasu, podług wymagań postępu i oświaty, chciała wyklądać, reformować i stosować ustawy swego zgroma-

dzenia. Zakonnica ta ze wszech miar czcigodna zdaniem opinii, udała się do prasy dziennikarskiej o protekcję. Wkrótce dowiedział się o niej ksiądz Czerkaski — i oto natychmiast w imię postępu i cywilizacji zniesiono klasztor, jako przybytek niezgody, tyranii, barbarzyństwa, a zakonnice rozpedzono po świecie, zapewniając protegowanej pensję dożywotnią. Inny przykład. U Sakramentek warszawskich już po ukazie zakazującym kanonicznego wyboru przełożonych, gdy władza przełożonej wyexpirowała, przystąpiono do wyboru. Natychmiast znalazł się jakiś miłośnik wolności, który lękając się, aby przełożona wybrana pod prezydencją delegowanego władzy duchownej w myśl prawa kościelnego, nie tyranizowała zakonnic, dał o tem wiadomość do gazet. I oto w czas niejaki potem ksiądz biskup sufragan Paweł Rzewuski skazany został na wygnanie do Astrachanu głównie za to, że owa elekcya odbyła się pod jego rządami, i że przez niego została potwierdzoną.

Jeszcze inny przykład. Jakiś ksiądz kandydat urodzony do chrestów i do posad przy synodzie petersburgskim a przytem wszystkim (jak zwykle) wielki liberał, wywahał, że gdzieś w szkole kierowanej przez klasztor, prawil katecheta dziewczętom o schyzmatyckich dążnościach dzienników, a nadto, że im bałamucil głowy gadaninami o ucisku i niedostatku Ojca św. i zalecał nawet, aby panienki złożyły datek na Świętopiętrze dla bogacza w Watykanie (*jak korespondent Tygodnika Wielkopolskiego nazywa Piusa IX.*). Wszystko to ów ksiądz liberał spisawszy i w korespondencję zręcznie ułożywszy, przesłał do umieszczenia którejs z redakcyi rossyjskich. W kilka tygodni potem ks. katecheta został wysłany w głąb Rossyi, szkołę zaś w chwili kassaty, która właśnie na owe czasy przypadła, odjęto zakonnicom wraz z majątkiem i jeszcze wielkie szczęście, że zakonnicom pozwolono do wymarcia zostać w klasztorze. Wszystko to działo się nie z nienawisci dla instytucyi religijnej, ale w najlepszej chęci zapobieżenia nadużyciom indywidualów. *Dziennik Warszawski* usprawiedliwiając postępowanie rządu, twierdził, że to tylko buntownicze umysły Jezuitów i ultramontanów w złej intencji chcą udać za jedno i toż samo owe repressye przeciw nadużyciom indywidualów z przesładowaniem religii katolickiej i z nienawistnem ściganiem instytucyi.

Tak postępował ksiądz Czerkaski w Polsce kongresowej, posługując się zwłaszcza liberalnemi usposobieniami trzech księży,

z których jeden w r. 1863 prowadził powstańców do lasu a potem dla naprawienia tego błędu tropił ultramontanów i ukrytych Jezuitów; drugi stary intrygant gotów duszę sprzedać, byle miał za co używać, w epoce manifestacji religijnych przewodniczył patryotycznym processyom w celu polatania swej sprawy wobec powstania, a po objęciu dyrektorstwa kultu przez księcia, dla polatania znowu swej sprawy przed rządem podjął się pięknego urzędu wykrywania wszystkich słabych stron duchowieństwa; a nakoniec trzeci słynny kapelan odprawiający w pięciu minutach mszę św., aby mógł tem więcej czasu poświęcać pisaniu do *Dziennika Warszawskiego* słowo w słowo takich samych artykułów, jak pisują teraz księża liberalni do *Dziennika Polskiego* lub do *Tygodnika Wielkopolskiego*; a wszystko zawsze z wielkiej miłości dla instytucyj religijnych kompromitowanych przez indywidualia. Książe też protektor owych liberalów w rewerendach często zwykł był powtarzać: „*qu'il faut faire le pourceau pour n'avoir pas l'enfer; et qu'il faut que les individus souffrent un peu, pour ne pas perdre le catholicisme horriblement compromis par ses propres ministres dans ce malheureux pays*¹⁾).

Otóż i naszym redakcyom wslawionym napaściami na Karmelitanki, Szarytki, Prezentki i tym podobne zgromadzenia, o to samo idzie. Z wyjątkiem zakonu OO. Jezuitów, przeciwko któremu liberaly zachodnie jednako z liberalami rossyjskimi bezwzględnie się oświadczają i przeciwko którym każdy środek uważają za dobry, byle się dał użyć skutecznie ze szkodą wspomnianego zakonu, w postępowaniu przeciw wszelkim innym instytucyom bywają oni powodowani najczystszą intencyą bronięcia rzeczy przeciw nadużyciom jednostek. Czytajcie ukazy z 1864 i 1865 roku dotyczące zniesienia zakonów i stowarzyszeń religijnych i porównajcie je z artykułami *Kraju*, *Dziennika Polskiego* *e tutti quanti*, a ręczę wam, że pod względem usprawiedliwienia twardości i srogosci, z jaką sobie względem owych stowarzyszeń tam i tutaj postępują, zachodzi tylko różnica formy i różnica redakcyi. Motywa są zawsze też same równie jak też sama rzecz-wista dążność.

¹⁾ „Ze trzeba się chwycić czyśca, aby uniknąć piekła — a indywidualia muszą trochę przycierpieć, aby nie przepadł katolicyzm tak straszliwie skompromitowany w tym nieszczęśliwym kraju przez własnych swoich kapłanów.

Jak tamci tak i nasi przeciw nadużyciom indywiduów muszą mieć oskarżenia i oskarżycieli, bo jak nas p. Gumplowicz uczy w swojej reprimendzie wyciętej prokuratorowi, zasadą jest prawną, że gdzie nie ma oskarżyciela tam nie ma i oskarżonego. Któż będzie oskarżycielem? Na świecie któż może wiedzieć o tem co się dzieje w klasztorach? Z drugiej strony, któż dokładniej może o tem wiedzieć, jak osoby do owych zakonów należące i na postępowanie swego zakonu, nie pod światłem ustaw, ale pod światłem ducha czasu patrzące, bez względu na to czy wyroki ducha czasu redaguje p. Lam, czy p. Callier, czy p. Katków, czy p. Gumplowicz. Znajdzie się taki *falsus frater*, albo *falsa soror* (a czemużby się nie mieli znaleźć, kiedy Judasz znalazł się w gronie pierwszych dwunastu uczniów Chrystusowych?) da o sobie znać komu należy, a tem więcej odezwie się publicznie, choćby zasłoniony pseudogramem? — Daj ich! Nic pożądanszego! Mniejsza o to, co to za indywiduum, prawdę czy nieprawdę mówi — dość że skarży, dość że donosi, dość że się żali na tyranie, na nadużycie władzy przez przełożonych, na wpływy, pod którymi rozkazują i kierują. Dawaj takich jegomościów i takie jejmoście. I ani się waż poddawać w wątpliwość słuszność ich sprawy, ani się waż podejrzewać oskarżycieli i denuncyantów o ducha niesubordynacyi, opozycyi, niespokojności, osobistego interesu, intryganctwa. Podejrzewać ich o to jest to grzeszyć przeciwko prawdzie, sprawiedliwości i uczciwości — bo w takiej sprawie i przed takim trybunałem oskarżyciele już z tytułu charakteru, w którym występują, muszą mieć słuszność i nie mogą ani kłamać ani się uprzedzać, ani się mylić. Z drugiej strony niekorzystne o oskarżycielach zdania z góry dowodzą, że kto je wyowiada, ten jest z klikki Czarnych Ojców, jak się wyraża korespondent *Tygodnika Wielkopolskiego*, albo z klikki Czarnych gadów, jak się wyraża dużo więcej wyrobiony *Kraj*, lub z klikki Czarnych sprzysiężeńców, jak się wyraża najliberalniejszy *Dziennik Polski*, lub z klikki Czarnych rokoszan, jak się wyraża umiarkowany *Dziennik Poznański*, — lub wreszcie z klikki Czarnych miateżników, jak się wyraża najszczerzy z nich *Gołos* i *Dziennik*. Oskarżyciele tymczasem tem więcej zasługują na opinię prawdomówności, zacności, nawet świętobliwości, im mocniejsze poruszono przeciwko ich charakterowi wątpliwości.

Otóż to taki system zastosowano i w procedurze przeciwko pannom Prezentkom krakowskim, w celu pozbawienia ich szkoły

własności, a jeźliby się dało, to i samego domu oraz bytu. Znalazły się indywidua w klasztorze właśnie takie, na jakie protektorowie religii i moralności, papieża, biskupów i władzy klasztornej najgorliwiej polują i jakiemi się z największą posługują lubością. Znalazło się szczególnie jedno indywiduum, którego imię dzienniki liberalne zanadto często w kurs puszczaają i niem się w napściach na Zgromadzenie pp. Prezentek posługują, aby się w tem miejscu wbrew naszej najszczerzej chęci zamilczeć dało.

Odkąd się ta historia zaczęła, dużo o tem byłoby do powiedzenia. *Dziennik Polski* i jego konfratry mówią, że się zaczęła, odkąd tam nastali ostatecznie nominowani komisarz biskupi i katecheta. Lecz nie wspominając już nic na tem miejscu o artykułach umieszczonych w *Kraju*, znacznie wcześniej przed epoką wejścia obecnego komisarza i katechety, jak na przykład ów artykuł podpisany przez ks. Juljana Bukowskiego dawniejszego katechetę i dyrektora szkoły, a napisany w obronie szkoły i dla odparcia potwarzy przeciwko tej szkole wymierzonej; nie mówiąc już szczegółowo o pierwszej w tym przedmiocie interpelacji pana radcy Weigla, która żadnym sposobem nie mogła być spowodowana czem innym jak silnem (aczkolwiek mylnem) przekonaniem, że już podówczas stan zgromadzenia kierującego szkołą był takim, iż mu nie można było zaradzić bez wywłóczenia tej sprawy na pole urzędowe i publiczne — nie mówiąc, powtarzam, o tem wszystkiem — prosimy wziąć na uwagę następujący ustęp dotyczący tej sprawy a znajdujący się w korespondencji z Krakowa do *Tygodnika Wielkopolskiego* (nr. 42):

„Był to wzorowy zakład (szkoła pp. Prezentek) naukowy pod zarządem prefekty panny Bogumiły Remer w czasach germanizacji wytrwale walczący z c. k. szulratami o każdą swobodę narodowego wychowania.“

Wytrwale walczący? Walka zatem nie jest dzisiejszą; jest ona współczesna epoce germanizacji, prowadzoną była z szulratami, a szulraty znaczą podobno radców szkolnych, takich jak np. dzisiaj jest p. Olszewski, który także jest szulratem tylko bez przydatku ces. król. Czyżby te dwie litery tak dużo stanowiły o różnicy znaczenia walki dawniejszej i dzisiejszej? Może te litery są synonimem germanizacji? Prawda, że dawniejsi radcy daleko większy kładli nacisk na potrzebę uczenia się gramatyki niemieckiej, ale niemniej dla tego onego czasu był to wzorowy zakład naukowy, jak czytamy w korespondencji *Tygodnika*

Wielkopolskiego, a jak czytamy w *Dzienniku Polskim* (16. września) była to szkoła znakomita i niemałych zasług. Taką tedy była owa szkoła, lubo radcy szkolni nazywali się jeszcze szulratami i do tego z przydatkiem c. k. — lubo owi c. k. szulraci dużo więcej nawiedzali szkołę pp. Prezentek, niż obecni radcy autonomiczni — lubo niezmiernie wiele zadawali sobie pracy, aby szkoła szła podług c. k. planu i podług ich nieautonomicznego usposobienia, lubo nareszcie mieli w swej władzy środki i sposoby dość silne do przeprowadzenia tego czego chcieli.

Wzorowy ów zakład naukowy pod zarządem p. prefekty Bogumiły walczył wytrwale w czasach germanizacji o każdą swobodę narodowego wychowania. I tak walcząc był wzorowym, znakomitym. To najprzód dowodzi, że c. k. szulraci daleko mniej byli w kwestyi tak drażliwej natarczywymi i ostatecznościami goniącymi, acz należeli do systematu absolutyzmu, niżeli są radcy szkolni autonomiczni i liberalni. Inaczej, pytamy się, cóżby było łatwiejszego dla c. k. szulratów, jak spowodować rząd do odebrania subwencji zakładowi klasztornemu, który z nimi tak wytrwale walczył?. To powtóre dowodzi, że c. k. szulraty, z którymi zakład ów naukowy wytrwale walczył nie musieli być przeciwnikami dobrych warunków tej szkoły, bo choćby też owi c. k. panowie szulraci na niewiedzieć wielu punktach byli przez zarząd panny Bogumiły Remer, walczącej o swobody narodowego wychowania pobici, to przecież, myślimy, że nie byli pobici na wszystkich punktach, a że działanie ich było bardzo ścisłe i pilne, przeto na szali wzorowości i znakomitości szkoły coś także ważyć musieli.

Pod zarządem panny prefekty Bogumiły Remer zakład wytrwale walczył i był dobrym, wzorowym, znakomitym. Dzisiaj ten zakład stał się złym i niemożliwym. Dla czego? Czy że przestał walczyć? Owszem, zły jest dla tego, że walczy. *Dziennik Polski* donosi o sprzysiężeniu godzącem na wynarodowienie polskiej szkoły (z 16 września); przedtem donosił (23 sierpnia) o zatargach szkoły św. Jana z Radą szkolną. Więc tylko zmieniły się role. Przedtem zakład wytrwale walczył przeciwko c. k. szulratom, odpierając zamachy germanizacyjne i zdobywając swobody narodowego wychowania, a teraz ten sam zakład walczy przeciw Radzie szkolnej w celu zatracenia swego charakteru narodowego. Zakład gwałtem, zdawałoby się, chce być niemieckim, jakby był inspirowany przez wiedeńskich prusofilów

albo wprost przez rząd Bismarka. Rabia zaś germanizacyjna, która go opanowała, tak jest straszną, że Rada szkolna już się nie czuła w podobnej mocy zapobieżenia jej, jaką niegdyś zakład ten pokazał w walce przeciw rabii germanizatorskiej c. k. szulratów — i szkoła pękła. Walkę dzisiejszą, zdaniem *Dzieunika*, *Kraju* i *Tygodnika* miał wywołać i przeprowadzić, obecny ksiądz komisarz biskupi łącznie z księdzem katechetą. Dziwna rzecz! Księżę tych, zwłaszcza pierwszego, o różne rzeczy spotwarzano ale o germanizacyjne zamiary jeszcze ich nikt nie podejrzywał. Pierwszy całkiem nic nie umie po niemiecku i za panowania systemu germanizacyjnego był on uważany za oponenta a jako taki dosyć twardo traktowanym.

Ks. komisarz nie mógł walki ukartować między szkołą pp. Prezentek a Radą szkolną, gdyż on obecny stan rzeczy już znalazł w chwili, kiedy go ks. biskup postanowił komisarzem przy Zgromadzeniu pp. Prezentek. W papierach swego urzędowania ma on nie jeden dowód na stwierdzenie aż do oczywistości tej prawdy, że ukartowanie walki o wiele wcześniejszej jest daty, niż jego nominacja na komisarza, i że walka ukartowaną była nie między szkołą pp. Prezentek a Radą szkolną, ale wprost przeciwko pannom Prezentkom w celu wydarcia ich szkoły z gruntu, na którym przez lat dwieście miastu i krajowi służyła. Owszem ks. komisarz będzie mógł zaprodukować dowody, że walka ukartowaną była na rzecz pewnych osobistości zbyt głośno, wytrwała walką wsławionych.

P. Bogumiła Remer przeciwko komisarzowi biskupiemu nie potrzebowała wytrwale walczyć o swobody narodowego wychowania, bo komisarz jeżeli czego chciał od Zgromadzenia, nie od szkoły, do której się nie wtrącał, to właśnie tego, co narodowe swobody dla zakonnic zajmującej się wychowaniem, najlepiej zabezpieczyć mogło, tj. zachowania przepisów Zgromadzenia na gruncie narodowym zaszczerpionego i wzrosłego — przepisów z pobożności i wiary serc prawdziwie polskich wysnutych. Przecież te przepisy z jednego wyniknęły źródła z całym instytutem wychowawczym pp. Prezentek. Przecież one zostały nadane i potwierdzone przez polskich, krakowskich biskupów, którym fundatorowie, prawdziwi miłośnicy narodowej oświaty, sprawę zakładanej przez się szkoły w ręce oddali. Jeżeli więc ks. komisarz zaraz na progu spotkał się z opozycją panny Remer, to nie dla czego innego, tylko dla tego, że p. Remer ustawy swego Zgro-

madzenia chciała mieć w duchu józefinizmu niemieckiego to jest w duchu zimnego systematu, obmyślanego na wyrugowanie z serc polskich katolików razem prawdziwej miłości ojczyzny i gorącej miłości Kościoła — oraz w duchu tego liberalizmu wiedeńskiego, który tę zakonnicę wolnomyslną tak ściśle spowinowacił z wszystkimi organami nieprzyjaźnemi jednako katolicyzmowi i polskości historycznej. Aby dowieść, że opozycja p. Remer ma źródło w jej miłości dla narodowej swobody wychowania, trzeba by wprzód dowieść, że rewolucya, niekarność i niezdolność posłuszeństwa prawej władzy jest synonimem polskości.

Przed księdzem Golianem był u pp. Prezentek komisarzem biskupim ks. Fabian Webelun, były przeor OO. Dominikanów krakowskich, powszechnie znany ze swego pięknego charakteru, ale ks. Webelun był przedewszystkiem kapłanem sumiennym, nie rozumiejącym się na jozefińskich i liberalnych komentarzach ustaw zakonnych. I oto właśnie dla tego ks. Webelun, jako komisarz pp. Prezentek, spotkał się z opozycją równie zaciętą i walką wytrwałą panny Remer, jak później ks. Golian. Wszakże panna Remer wie dobrze, iż urząd prefekty był jej odjęty nie za ks. Goliana, ale za ks. Webeluna. Istnieją akta dotyczące tej sprawy. Jeżeli to więc ów urząd prefekty miał stanowić główny warunek swobody narodowego wychowania, o które zarząd panny Remer wytrwale długo walczył, to niechże przyzna, że ks. Golian w naruszeniu tej wielkiej swobody żadnego udziału nie miał. Swoboda owa została pannie Remer odjęta przez proste zastosowanie prawa przed dwoma wiekami opisanego i właśnie w duchu prawdziwej swobody narodowego i katolickiego wychowania, Zgromadzenie pp. Prezentek obowiązującego.

Przed ks. Webelunem był komisarzem pp. Prezentek ksiądz Gołaszewski, dyrektor seminarium, przełożony będący przedmiotem najgłębszego szacunku i przywiązania ze strony kapłanów, którzy się pod jego kierunkiem wychowali, — przełożony umiejący łączyć ze stanowczością rzadką słodycz i łagodność. Ale ks. Gołaszewski nie pojmował także, aby było rzeczą możebną sumienne wykonanie ustaw zakonnych pogodzić i połączyć z ową swobodą tłumaczenia ustaw zawsze na niekorzyść zakonności, zawsze na korzyść niekatolickich o wolności pojęć; nie pojmował on sumienności osoby żyjącej w Zgromadzeniu duchownem a lekceważącej prawa tego Zgromadzenia i o tyle je tylko uwzględ-

niającej, o ile na to pozwoliły, nie powiem, jej gruntowne pojęcia i przekonania o wychowaniu, bo jak wykazemy niżej, w takowe panna Remer wcale nie obfitowała, ale raczej, o ile na to pozwalały jej uprzedzenia i przesady, któremi sobie głowę nabila (zwłaszcza bez jej prefektury szkoła straciłaby na swobodzie narodowego wychowania), oraz, o ile na to pozwalały jej fantazyje, w które przy swoim wiecznie nerwowem usposobieniu do zbytku obfitowała. I oto dla czego ks. Gołaszewski spotkał się w urzędowaniu swoim z równie zaciętą opozycją panny Remer jak po nim ks. Webelun, a po Webelunie ks. Golian.

P. Bogumiła Remer w wytrwałej swojej walce wtenczasby tylko coś złagodziła, kiedyby komisarze biskupi chcieli byli dzielić jej uprzedzenia, przesady i fantazyje, i kiedyby uwierzyli podobnie w jej nieomyślność pod względem pojmowania i stosowania przepisów życia zakonnego jak w pewnych sferach uwierzono w jej takt nauczycielski i w jej wysokie umysłowe wykształcenie. Ksiądz józefinista, to jest ksiądz w duchu półprotestanckiej reformy, albo ksiądz w duchu nowoczesnego liberalizmu, zakonność zaliczający do zabytków średniowiecznego barbarzyństwa, taki ksiądz byłby potrzebny na komisarza pp. Prezentek, aby od panny prefekty był dobrze przyjęty, zatwierdzony jej uznaniem w swej władzy i wytrwałą jej walką nieturbowany.

Mamy przekonanie, że i z c. k. Szulratami p. prefekta wytrwale walczyła nie w celu zdobycia swobód narodowego wychowania, ale raczej w celu zdobycia swobody niezawisłego w szkole rządzenia. Onego czasu, gdy przełożone Zgromadzenia pp. Prezentek, czcigodne wprawdzie osoby, ale całkiem przez pannę prefektę zawojowane, we wszystkim jej ulegały, p. prefekta nie znajdując potrzeby walczenia przeciw władzy klasztornej i mogąc postępować niezawisłe w klasztorze podług tego jak się jej fantazyjom podobało, chciała też podobnie niezawisłe postępować w szkole. Otóż kiedy chciano ukracać i te zachcianki zbyt autonomicznie, następowały wówczas drażliwości i sceny, które się podobnie kończyły chorobami i mdleniami, jak sceny towarzyszące walkom późniejszym, prowadzonym wytrwale z przełożoną. Ta sama pani, która w ostatnich latach ustawicznie się powoływała na rozporządzenia Rady szkolnej i swoją dla tej władzy afektowną uległością broniła osobistego wszechwładztwa, ta sama pani, która swe względy i swą uległość dla wpływów zewnętrznych posuwała aż do serwilizmu nawet pod względem pojmowania

praktyk pobożności, ustaw zakonu, furty itp., ta sama, za czasów dawniejszych, czując się panią w zakładzie i autokratką, protestacye swoje przeciw działaniu c. k. Szulratów posuwała aż do otwartej wojny. Był czas, (bardzo już dawno) że panna Bogumiła Remer rozgłosem swego imienia, jako wytrwale walcząca napełniła Kraków i Lwów. Batalie ówczesne wyillustrowane świetnymi barwami patryotyzmu, wzięte dzisiaj pod zimną rozwagę, mogłyby się wiele przyczynić do wyjaśnienia nam powodów i tych późniejszych walk. Wszystkie te prawdy sprowadzone do jednego mianownika dadzą się wyrazić źródłowym powodem utrzymania się przy raz zdobytej niezawisłości i osobistych autokratycznych rządach tak w szkole jak i w zakonie.

Z przełożonemi ówczesnemi sprawa o tyle była łatwiejsza, o ile one dla miłości swego własnego osobistego pokoju dawały pannie prefekcie *carte blanche* na takie autokratyczne rządy. Nieobchodziło się jednak mimo tego, bez bardzo nieraz drażliwych starć między tak nieograniczoną władzą prefekty a władzą rządu klasztornego. Raz nawet rzeczy doszły do tego stopnia za dawnego przełożęstwa, że prefekta chciała opuścić klasztor i o mało że tego postanowienia nie wykonała, gdyż przełożona zamiast błagać o jej pozostanie, zdecydowała się na uwolnienie rozdrażnionej i zniechęconej.

Co się tyczy księdza katechety, ksiądz Kwieciński, który z posłuszeństwa tylko należnego biskupowi przyjął to przykre i trudne stanowisko i który czując godność swojego kapłańskiego charakteru nie dał sobie ani wspomnieć o ślepem posłuszeństwie dla wpływów p. exprefekty, a jako dyrektor szkoły chciał postępować według własnego sumiennego przekonania, musiał paść ofiarą i wnet uczył następstwa swej opozycji. Panna exprefekta widząc, że katecheta nie da się traktować jak potulny chłopaczek, zawyrokowała zaraz o nim, iż „w prostocie ducha postępuje, nie znając swych własnych atrybucyi“, że postępowanie jego świadczy, „iż jest pozbawiony wszelkiego nauczycielskiego taktu“, że nawet nie rozumie swych obowiązków kapłańskich, że zatem naturalnie powinien ustąpić ze szkoły. Pomijamy już inne podobnie skromne i o pokorze zakonnej, jak niemniej o takie nauczycielskim panny exprefekty świadczące jej decyzje, z których jednocześnie jakby żywcem wzięte powtarzały się zdania i epitety w pismach znanych ze swej nienawiści dla Kościoła i duchowieństwa. Gdy owe wyroki

zapadły, natychmiast od *Kraju* aż do *Djabła* wszystko się nań rzuciło jednomyślnie — i tak kapłan używający powszechnego szacunku, lubiony we wszystkich sferach naszego społeczeństwa, zaszczytany zaufaniem ludzi poważnych, pożądanym przez nich na kierownika dojrzałszej nawet młodzieży — stał się nagle przedmiotem zjadliwych publicznych obelg i najdotkliwszych szyderstw wymierzanych przeciwko niemu już to w imię oświaty, postępu i liberalizmu, już w imię ulicznej paskwinady.

O Siostrach zakonnych niema już nawet co mówić. Łaskawość p. prefekty a potem p. exprefekty nabywała się bezwzględnie dla niej posłuszeństwem i przyjęciem obowiązku adoracji dla jej niezrównanych talentów i dla jej najwyższego nauczycielskiego taktu. Póki przełożone były jej uniżonemi sługami, póty siostronom wolno było składać im dowody szacunku i posłuszeństwa. Lecz odkąd nadeszła epoka przełożonej, która zrozumiała swoje stanowisko, nie mniemała w swem sumieniu, aby swym obowiązkom mogła należycie odpowiedzieć przez nieograniczone posłuszeństwo pannie prefekcie — odtąd wszelkie względy szacunku i uległości objawiane przez siostry dla przełożonej, mianowane były służalstwem, obłudą, podłym schlebieniem tyranii. Ucisk, tyrania, służalstwo, obłuda, szpiegostwo i tym podobne kwalifikowania tak rządów przełożonej, jak uległości podwładnych były odtąd co moment na ustach taktownej nauczycielki i prefekty — zupełnie w podobny sposób jak się potem powtarzały w dziennikach antyreligijnych.

Otóż takiej to znakomitości wytrwałem bojowaniem posłużyli się nieprzyjaciele wychowawczego zakładu pp. Prezentek. Urodzona prefekta rozumiała jak wówczas obszerne otwarło się przed nią pole działania, czyli kontynuowania wytrwałej walki.

Podobnie jak bywa w historych rewolucyjnej polityki, że wszystko zależy od zręcznego korzystania z nadarzonej sposobności; od zręcznego wyzyskiwania jednej strony przez drugą, tak się i w tej sprawie rzecz miała między protegującymi a protegowaną. Protegowana chciała się posłużyć protektorami, a protektorowie biorąc jej sprawę pod swoją opiekę, obiecywali sobie, że jej opozycją, jakby jej rączką, wygrzebią sobie z żarzącego popiołu smaczne kasztany. Dotąd nie wiedzieć kto wygrał, kto ma zacierać ręce, a kto płacić koszta, czy redakcyje antykatolickie, które daną przez się protekcyą spowodowały odjęcie klasztorowi

subwencyi i szkoły publicznej, czy panna exprefekta, która przez tak wszechmocne protekcyę obiecywała sobie dojść do absolutnej władzy w klasztorze i szkole? Nam się zdaje, że obie strony zanadto sobie dużo obiecywały. Rozczarowanie dzisiaj, nic więc dziwnego, że też są i rozdrażnione. Protektorowie nie całkiem postawili na swoim, gdyż panny Prezentki nie pozostały bez szkoły; używają owszem na przekór liberalnym ich protestacyom, podobnej wolności jak owa, z której korzystają inne zakonne szkoły prywatne — a nadto mają sobie zostawione swój dom i dawny inwentarz szkolny. Przerachowano się więc, sądząc, że Rada szkolna pójdzie do ostateczności i będzie chciała naśladować gospodarstwo cywilizacyjne księcia Czerkaskiego, podobnie jak nasze liberalne redakcyje naśladowują nihilistyczne redakcyje rossyjskie, domagając się w imię oświaty, postępu i patriotyzmu pogwałcenia prawa własności i wolności. Co się tyczy protegowanej, wątpimy także, aby całkiem wyszła na swoim. Wytrwała walka doprowadzona do ostateczności, nie mniemamy aby wyszła na korzyść sławionego jej nauczycielskiego taktu i poświęcenia się, oraz na korzyść uwielbianych talentów.

Bo trzeba najprzód wziąć na uwagę, że panna Bogumila Remer nie posiada bynajmniej świadectwa kwalifikacyi — i że jeżeli uzyskała w tych ostatnich dniach jakowys pod tym względem dyplom, to chyba jak dają czasem dyplom honorowego doktoratu, czyli honorowej uczoności, dyplom, który sprawy rzeczywistego wykształcenia ani grzeje ani ziębi. Nie zna przytem żadnego obcego języka, nie posiada żadnej z umiejętności ścisłych, naturalnych, a nie można powiedzieć, żeby na publicznych popisach swych uczennic bardzo świetną przedstawiła się jej znajomość historyi. Gadaniu poglądownych dużo, zwłaszcza o pewnych oklepanych i na efekt patriotyczny wyrachowanych faktach; ale znajomości tego przedmiotu nie było czuć wiele. Zawsze była tylko mowa o kształceniu serca. Jużć prawda, że historia jest i mistrzynią serca, ale przedewszystkiem musi ona być mistrzynią umysłu. Na inne siostry zwykle spadał trud nauczania ścisłego, szkolnego, przedmiotowego, bo gdyby musiano na tem przestawać, co panna Remer udzieliła ze swego, to może panienki przyuczyłyby się do pretensjonalnych i jakichś niby akademickich poglądów — ale z samej umiejętności ściśle wziętej nie umiałyby zdać sprawy. Co się zaś tyczy owego prawie w śmieszne przysłowie weszłego

kształcenia serc, zależało ono na rozbudzeniu sztucznych egzaltacji i na fantazyowaniu.

Ale polski język, ale styl! Najprzód, faktem jest, że panna Remer nie poprawiała sama nigdy ćwiczeń i że to, zbyt niskie dla niej, zajęcie spadało na zwykle śmiertelniczki nierozjaśnione blaskiem znakomitości. Nie dowodzi to jeszcze niczego przeciw rzeczywistemu pod tym względem wykształceniu nauczającej, dowodzi jednak wiele przeciw rzeczywistej zasłudze i praktyczności nauczania, które z tej strony z pewnością jest najmoźniejsze, najdzielniej wpływające na przelanie w umysły uczennic żywotnych praw nie tylko należytego wyrażania się, ale i należytego myślenia. Powtóre, jakkolwiek znajomość języka ojczystego byłaby w pannie Remer rzeczywiście znakomitą, to przecież nie do tego stopnia była w niej wyłączną i jej tylko właściwą, aby sama przez się stanowiła o wartości szkoły św. Jana, lub jakiegokolwiek bądź innej szkoły. Trzebaby chyba być jakąś pierwszorzędną znakomitością, aby mózdz aż do tego stopnia stać się jakby ogniiskiem lub główną sprężyną stanowiącą wszystko o mechanizmie, o wartości i zasłudze szkoły — i aby o nauczycielce takiej można było powiedzieć z jakimś przynajmniej pozorem prawdopodobieństwa, że szkoła to ona.

Jeszcze słówko co do kwestyi wyjścia panny B. Remer ze Zgromadzenia pp. Prezentek. *Dziennik Polski* adwokatując w sprawie panny Remer, donosił, jakoby ks. Golian miał jej przeszkadzać w uzyskaniu prędszego uwolnienia się z zakonu i jakoby to uczynił podsuwając biskupowi zdanie, iżby sam tej sprawy nie załatwiał, ale raczej przesłał ją po załatwieniu do Rzymu. Jak dalece można *Dziennikowi* wierzyć, kiedy coś donosi zwłaszcza w tego rodzaju sprawach, nie potrzebujemy na to odpowiadać. Toż niedawno korespondent jego z Krakowa i to ksiądz, donosił, że ks. biskup Gałęcki asystował przy konsekracji kościoła Matki Talbot, a gdy potem zmuszony był przyznać się do nieprawdy, zwałił winę na *Czas*, jak gdyby to ksiądz z Krakowa piszący do Lwowa, dopiero z *Czasu* miał się dowiadywać o ten czy jego biskup asystował przy konsekracji w Krakowie czy nie. Takich świadectw *Dziennik* oddaje co tydzień kilka swej prawdziwości. Co się tyczy powyżej wzmiankowanej sprawy, ksiądz Golian ma na szczęście trzech świadków, dwóch świeckich a jednego kapłana, wobec których zapytywał ks. biskupa, czyby nie zechciał sam swoją władzą uwolnić panny Remer od związku

ze Zgromadzeniem. Ksiądz biskup odpowiedział, że nie, i że koniecznie trzeba udać się do Rzymu. Cóż to jednak pomoże, choćby nie trzech, ale trzydziestu świadków zatwierdziło, że doniesienie *Dziennika* jest fałszywe i że intencja podsunięta księdzu Golianowi jakoby ten chciał przeszkodzić panie Remer w przedsięwzięciu uzyskaniu żądanego przez nią uwolnienia jest potwarczą? Gdyby chciano o wszystkie tego rodzaju kłamstwa i potwarze procesować *Dziennik Polski*, toby na to nieustające chyba sądy ustanowić wypadło.

Ks. Golian jako komisarz pp. Prezentek niejednokrotnie p. Bogumile Remer dawał do zrozumienia, że jeżeli tylko sądzi się być w Zgromadzeniu nieszczęśliwą, będzie mogła uzyskać bez trudności uwolnienie, że owszem postara się on, aby z subwencji przez rząd udzielanej mogła jej być jakaś częśćka zapewnioną, póki by sobie odpowiedniej pozycji nie znalazła. Wówczas panna Remer nie miała innej odpowiedzi, jak tylko, że o wyjściu ani sobie mówić nie pozwoli. Dziś ze zmianą stanu rzeczy w klasztorze zmieniła ona swoje postanowienie — chciała wyjść i wyszła. Nikt jej tego nie myśli zarzucać — nie sądzimy jednak, aby ktoś mógł sprawiedliwie robić z tego powodu zarzut Zgromadzeniu lub jego władzy. Od roku przeszło mogłoby się to być stać, co się stało teraz — a panna Remer może już dawno osiągnęłaby cel swych życzeń, którym na przeszkodzie miał niby stać ksiądz komisarz!

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

III.

Przyczyny upadku Polski. — Pierwiastki demoralizujące w narodzie jeszcze przed wstąpieniem Jezuitów na ziemię polską. — Czy Jezuiti mogli przeszkodzić rozwojowi tych pierwiastków. — Władysław IV i Jezuiti. — Demoralizacja narodu przez Jezuitów. — Zarzuty księcia Adama Czartoryskiego i odpowiedź na nie. — Panegiryki jezuitkie pod względem moralnym. — Zasługi Jezuitów na polu moralności narodowej. — Niemoralność polityczna obok moralności religijnej.

(Dokończenie).

U nas w wiekach XVII i XVIII popelniano wiele ekscesów i wiele zbrodni, ale też pokutowano wiele. Do każdego niemal kla-

sztoru, do każdej świątyni, do każdego czynu dobroczynnego wiążą się tradycje ekspiacy i zadośćuczynienia za wybryki młodości lub ludzkiej ułomności. Dzisiejszy wiek niewierzący, nazwie to obłudą, ale nie było to tak. Któryż z panów historyków zbadal sumienie magnata, i może przeczyć, że właśnie te świątynie i klasztory nie były ekspiacyą za występki i jurgelty, a jeżeli twierdzi, że na to tylko magnat brał jurgelty, aby potem fundacje czynił, to jakież na to potrafi przytoczyć dowody? W wyrokowaniu o magnatach, ich zasługach i winie historia powinna być bardzo oględna. Dzieje Polski spojone są najściślejszym węzłem z dziejami pojedynczych rodzin, które kolejno podnosząc i tracąc się nawzajem, zawładnęły sterem Rzpltej. Dopokąd nie będziemy mieli opracowanych dziejów takich magnackich domów — historia polska nie będzie zupełną, a panowie literaci wstrzymać muszą swój wyrok bezwzględного potępienia, bo to jest zasada moralnego prawa „*in dubio nemo malus praesumitur nisi probetur.*“

Między szlachtą, prawda, byli, co sprzedawali swą kreskę, stali na żołdzie magnata, ależ byli i tacy, co za nic w świecie nie oddaliby swej niezależności. Skoro pamiętniki familijne wydobyte zostaną z manuskryptów i bibliotek zagranicznych, dokąd je wywieziono, zmienią się wyobrażenia sejmikowe na korzyść przeszłości, naliczmy więcej starostów Kopanickich, Rejtanów, Szydłowskich. O szlachcie polskiej XVII i XVIII wieku nie może powiedzieć żaden pisarz, że obłudnie wierzyła, nie ściągnawszy na siebie tem samym nazwy i ohydy potwarzy. Już to samo, że najkrwawszą burdę sejmikową uciśzał Najświętszy Sakrament wyniesiony z zakrystyi, jest dowodem głębokiej wiary. Niech historycy, literatury czytają pamiętniki te, co w rękach mamy i powieści najznakomitszych pisarzy — nigdzie tam nie dostrzegą tej obłudnej faryzejskiej wiary, tylko albo jawne zepsucie albo pobożność prawą, rzetelną, chociaż może dzisiejszemu racjonalizmowi śmieszna. Ludowi polskiemu dzisiaj nawet nikt przeciwie gorącej wiary odmówić nie może — nie zdołała mu jej prawdziwej odrzeć ani chytrłość doktrynerów, ani okrutność carów i sług caratu; a jednak ten lud polski upijał się, grabieżył, dopuścił się nawet krwawych mordów. Można więc mieć prawdziwą głęboką wiarę a upaść i grzeszyć — z występków tedy i zdrożności nie można wnosić o braku lub obłudnej wierze Grzech i występki wierzącego człowieka, nie ma swego źródła w wierze, ale w namiętnościach jego, a jest skutkiem chwilowego zwycięstwa namiętności nad wiarą i znakiem słabości moralnej.

Lecz my sami bez wiary, lub mało mając wiary, chętnie czestujemy wieki minione tytułami obłudy i faryzaizmu. U nas wieki średniowieczne, to epoka religijnej obłudy i fanatyzmu; przeszłość nasza narodowa, której właśnie strona moralno-religijna najwięcej chluby i zaszczytu nam przynosi, dostarcza nam materiału do szyderstw i złośliwych posądzeń. Racyonalizm pożyczony od Niemców, zmieszawszy się z resztkami zepsucia i stanisławowskiej niewiary, owdładnął nawet szlachetne i zacne dusze. Sędziwy np. książę Czartoryski w życiu Niemcewicza powiada o polskiej szlachcie, że była żabobonna, bo

biła pokłony przed Najświętszym Sakramentem, chowała posty i spowiadała się¹⁾. Sam książę był katolikiem, trudno więc pojąć, jak wiarę w Przenajświętszy Sakrament i wypełnianie przykazań kościelnych mógł nazwać zabobonami. Dowodzi to wielkiego przewrotu umysłów i pojęć, kiedy nawet tacy ludzie jak książę Adam, po katolicku myśląc i wierząc, nie po katolicku pisali²⁾.

Twierdząc więc śmiało, że dotychczasowe opracowania historyczne nie podają wcale dostatecznych dowodów, któreby dzisiejsze pokolenie przekonać miały, że wiara katolicka, przywrócona i utrzymywana w Polsce przez Jezuitów, była wiarą obłudną, zabobonem i faryzeizmem; dalsze zaś poszukiwania w dziejach pokażą, że Polska jednym wiekiem pierwej i w hańbniejszy sposób upaśćby musiała, gdyby nie Jezuita, którzy prawdziwą wiarę w narodzie obudzić potrafili, a cnotą domową chwiejący się gmach Rzpltej podtrzymywali.

Jakżeż sobie jednak wytłumaczyć to dziwne zjawisko? Była żywa, gorąca wiara, były cnoty domowe, jakimi się dzisiaj poszczycić nie możemy — a obok tego istniały ciężkie grzechy publiczne, istne zbrodnie i zdrady.

Na to dwojaką daję odpowiedź. Są zdrożności w narodzie, które dla tego, że się stały powszechnymi, od wielu nie są uważane za grzech nawet *in foro morali*. Np. okradanie skarbu, sprzedawanie kresiek i inne, które Jabłonowski, wojewoda ruski, w dzielku „Szkрупuł bez szkrupulu“ narodowi wyrzuca. Są to występki a nawet zbrodnie obywatelstwem udarowane, które nie przeto jednak przestały być niegodziwymi i ciężkimi grzechami, ale które w oczach słabych, chwiejnych charakterów, przybrały barwę godziwości, i nawet naród cały, właśnie dla tego, że rozpowszechnione, mniej rażą.

¹⁾ Tak tylko tłumaczyć mogą słowa księcia: „Religia.... zdawała się ograniczać na codziennych zwyczajowych praktykach, bez wyższego ich tłumaczenia i bez czynnego podniesienia serc. Pobożność okazywała więcej drobnostek mogących być o zabobonność posądzanych niż szczeręgo ducha.“ „Inaczej zewnętrzna dla niej (religii) cześć utrzymywała się, szczególnie w niższych warstwach społeczeństwa itd.“ (Żywot Niemcewicza, str. 15). Owóż „codzienne zwyczajowe praktyki“, „drobnostki“, „zewnętrzna cześć“ to dzisiaj jeszcze są nazwy, które spodobają się nadać modlitwie na kłęczkach przed Najś. Sakramentem — przystępowaniu do spowiedzi i t. p. Możnaż to nazwać zabobonami?

²⁾ Słyszałem zdanie ludzi dosyć poważnych, jakoby śp. książę Adam był deistą. Nie piszę się na to *De internis non judicat praetor*. Książę nie wyparł się publicznie swej wiary — ani przeciw katolickiej wierze nie występował nigdy — to już wystarcza, aby mu nie odmawiać i przekonań katolickich.

Wiem też z pewnego źródła, że książę nie wstydił się praktyk świętej wiary — a dom jego stał otworem kapłanom znanym z swych zasad katolickich. Zresztą człowiek, który za modłę swych prac i zabiegów patryotycznych postawił dewizę: „Katolicyzm nie powinien być z miłości ojczyzny, ale patryotyzm z miłości Boga“ — taki człowiek o deizm pomówiony być nie może.

Zródła tych występków szukać należy w zwyczajnej słabości ludzkiej i w konstytucyi wadliwej, która żadnego nie postawiła hamulca przewrotności, a podala tysiące pokus naruszenia obywatelskiej zacności. Proszę głębiej zastanowić się nad tem zdaniem, a przyznać każdy musi jego słuszność.

Konstytucya polska w stosunku do obywateli wydaje mi się podobną do pani domu, która ufając cnocie i wierności sług, zostawia wszystko otworem, komody, spichrze i spiżarnie, Jest - to największa pokusa na dobrą sługę — a jeżeli jej sługa nie ulegnie — doprawdy podziwiać jej cnotę.

Doświadczenie jednak nauczyło, że najlepsze sługi psują się taką pobłażliwością pani i sprzeniewierzają się często. To samo powiedziec o konstytucyi polskiej — otworzyła szlachcie wszystkie wolności i swobody, skrzynie skarbu i głos sprawiedliwości trybunalskiej — wszystko to nabyć i pozbyć można było za złoto — a wielka jest potęga złota. Sprzedawanie kresiek, nie myślę się jeżeli powiem, wzięło pierwszy swój początek na polu elekcyi; kamień z góry puszczony coraz prędzej spada; praktykowano to więc zrazu rzadko na sejmach, a potem zawsze i na sejmikach, a nawet, zgroza pomyśleć, na trybunalach. Szlachta tłumaczyła sobie to w naiwny sposób: głos mój wolny, to moja własność, własność sprzedać mogę, czemuż więc głosu wolnego nie. Zapominano tu, że głos wolny jest własnością każdego i wszystkich, bo dobru publicznemu służyć powinien, i nie wolno oddawać go temu, który nim ku swej prywatnie chce rozporządzać. W podobny sposób tłumaczono sobie ono forytowanie własnego interesu na sejmach z szkodą publicznego dobra. Od czasów Zygmunta III posłowie na sejm nie otrzymywali od województw żadnej dyety — koszta podróży nieraz bardzo uciążliwej, i pobytu swego w Warszawie lub Grodnie z własnej kieszeni opędzali. Cóż zatem prostszego, jak że radząc „*de bono publico*“, pierwaj swoje własne dobro, swój własny nakład windykować usiłowano?... Skąpstwo województw zdawało się usprawiedliwiać brudną prywatę. Niesprawiedliwość na trybunalach żadnego, nawet tak naiwnego przypuścić nie może tłumaczenia: tu przekupstwo i krzywoprzysięga w całej widne ohydzie. Ale pomnąć należy na okoliczności, które każdą władzę, nawet świętość trybunałów podawały na lekceważenie narodu; pomnąć, że deputaci byli wybierani na dwa lata, a co cztery lata wybory się prawie zawsze powtarzały, że więc nie wielu było takich sprzedajnych, bezsumiennych sędziów, a znów i w najgorszem zepsuciu występowali tacy marszałkowie trybunału jak Małachowski, Puławski, Morykoni i inni. Pomnąć też należy, że w każdym społeczeństwie chociaż najbardziej katolickiem, jakim np. była Hiszpania i Włochy, dopatrzeć się można błędów i występków, które stały się powszechnymi, obywatelstwo zyskały. Zemsta, skrytobójstwo i płochość uchodzą we Włoszech za zwyczajne grzechy, któremi się nikt bardzo nie obraża, a niekiedy przybierają nawet cechę cnoty i tęgości charakteru.

Drugą odpowiedzią być może owe wygórowane pojęcie wolności i swobód, pod które podciągnąć chciano nawet obowiązki wynikłe

z prawa bożego i z przepisów wiary. W Polsce wszystko było wolno; tylko król i nieszlachcic, ci tylko wyjęci z pod owej szeroko rozsiadłej wolności, podpadali ostrej kontroli i smutnej niewoli. Pod wpływem owych pojęć rozpowszechniło się i rozwolniło nad miarę sumienie polityczne narodu — a przykład dawany z góry, niestety od samych królów (Augustów II, III i IV) zdawał się uprawniać zboczenia i ciężkie wybryki niższych podwładnych. Zważyć wszelako należy, że w ostatnim wieku istnienia Rzpltej wszystkie zbrodnie polityczne popelniane były prawie wyłącznie przez możniejszych, u których wiara i moralna cnota wojazami i pobytem w zepsutej Francyi mocno zwichniętą została — wierząca zaś większość narodu, szlachta zwyczajna tu nie może być winioną jak tylko o współudział w winie, i to nie z przewrotnej woli, ale z braku zmysłu politycznego, który nastąpić koniecznie musiał w skutek zamętu spraw publicznych, niekonsekwentnych praw i bezsilności rządu. Istotnie też konfederacye Tyszowiecka, Tarnogrodzka a nadewszystko Barska, przeważnie z szlachty złożone, lubo grzeszyły brakiem politycznego rozumu, odznaczały się jednak męstwem, poświęceniem bez granic, poczciwością i silnem przywiązaniem do katolickiej wiary. Nieliczne wyjątki Wessłów lub Bierzyńskich nie osłabiają w niczem tej prawdy. Sądzę, że nie myłę się, gdy twierdzę, że społeczeństwu polskiemu w początku XVIII wieku nie dostawało tylko praw dobrych, aby z niego utworzyć państwo silne, na polityce sumiennej i chrześcijańskiej oparte, któreby nawet takim monarchom jak Fryderyk II i Katarzyna II, cynizmem i potęgą wielkim, oprzeć się potrafiło.

PRZEGLĄD LITERATURY HISTORYCZNEJ.

Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Tom VI.

(Poznań, 1871. Nakładem Towarzystwa, wielka 8ka, str. 366.)

Już szósty tom roczników swych wydaje Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu od czasów założenia swego. Wszystkie te tomy bez wyjątku zawierają w części przynajmniej bardzo cenne i ważne prace, zwłaszcza w dziale historycznym, który nas tutaj jedynie zajmuje. O treści historycznej ostatniego, szóstego tomu tychże roczników zamierzamy po krótko zdać sprawę czytelnikom naszym.

Dział historyczny w Rocznikach Towarzystwa reprezentował dotąd przeważnie p. Leon Wegner. Prace jego w ogóle podzielić możemy na dwa rodzaje, badania i zestawienia: do pierwszego rodzaju zaliczymy rozprawy o Ostrorogu i Kollataju, do drugiego wszystkie

inne pomieszczone w dotychczasowych Rocznikach Towarzystwa. Jeżeli teraz zapytamy, w których z tych dwóch rodzajów odznaczył się p. Wegner, odpowiemy bez zająknięcia, że jedynie w pierwszym. Obie bowiem wymienione co dopiero rozprawy zasługują pod każdym względem na uznanie, i słusznie liczyć się mogą do wzorowych i cennych plodów nowszej naszej historycznej literatury. Niestety nie możemy tego samego powiedzieć o drugim rodzaju. Od historyka opowiadającego dzieje wymagamy więcej, jak nam daje szanowny autor. Jaką bowiem metodą postępuje pan Leon Wegner? Oto poprostu z e s t a w i a zaczerpnięty z kądinąd materyał, nie obrabia go, nie zużytkowuje go, lecz przytaczając *in crudo* długie o kikutu nieraz stronicach obce ustępy, łączy je własnymi krótkimi uwagami w luźną, pod względem kunsztu historyograficznego, dużo, ba nawet wszystko do życzenia pozostawiającą całość. Te własne jego króciutkie uwagi mają tworzyć niejako cement, ale niestety bardzo nietrwały i kruchy, cement, który ma spajać i łączyć ogromne nieociosane bryły. Że w ten sposób wystawiona budowa nie może zadawalniać pod względem artystycznym nawet najskromniejszych wynagań, wynika samo z siebie. — Pracowników na niwie historyografii podzielićbyśmy mogli na trzy kategorie: 1) na tych, którzy znoszą nieobrobiony materyał, 2) na tych, którzy ten nieobrobiony materyał przygotowują, obrabiają, jednym słowem, tworzą pojedyncze części późniejszej budowy, i 3) na tych, którzy z obrobionego i przygotowanego już materyału stawiają artystyczne większe lub mniejsze gmachy. Zdarzają się wprawdzie pisarze (a zwłaszcza u nas wydarzyć się to nie raz musi, u nas, gdzie dwa pierwsze stadya spoczywają niemal jeszcze w pieluchach), którzy od razu łączą w sobie wszystkie trzy kategorie, lecz to są tylko wyjątki, nie obalające bynajmniej jeneralnej reguły. Do jakiej z tych trzech kategorii policzymy zaś p. Leona Wegnera? Do żadnej. Pan Leon Wegner bowiem odrazu przeskakuje od pierwszej do trzeciej, omijając drugą, znosi nieobrobiony materyał i chce z niego wystawić artystyczną budowę (mówimy tutaj naturalnie tylko o jego tak zwanych „zestawieniach“). Jeżeli ten nieobrobiony materyał ma wewnętrzną wartość, składa się z kosztownych i cennych brył, które z trudem i mozolem trzeba było odszukać i znieść, lub wydobywać z niedostępnych kryjówek, wtedy taka praca p. Wegnera ma przynajmniej wartość nie jako budowa artystyczna, tej bowiem nigdy nie ma, lecz przynajmniej jako zbiór kosztownego i cennego materyału: jeżeli ten nieobrobiony materyał zaś każdy mógł odszukać i znieść bez trudności, wtedy cała tego rodzaju praca nie ma żadnej wartości ani pod względem artystycznym ani nawet materyalnym.

Nie sam p. Wegner z nowszych pisarzy u nas holduje podobnej metodzie pisania, bo dwa pierwsze tomy Jagiellonek p. Przeddzieckiego w ten sam sposób są napisane, z tą tylko różnicą, że p. Przeddziecki materyał swój prawie bez wyjątku bierze z rękopisów, archiwów krajowych i zagranicznych, p. Wegner zaś także prawie bez wyjątku z książek drukowanych.

W tomie szóstym Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Po-

znańskiego wydrukował p. Wegner aż dwie prace, z tych pierwsza: Stefan Garczyński, wojewoda poznański, i dzieło jego *Anatomia Rzeczypospolitej Polskiej 1706 do 1755* (str. 1—52) należy do pierwszego rodzaju prac pielęgnowanych przez szan. autora, to jest do badań, i jako takie, tak samo jak rozprawy o Ostrorogu i Kollątaju, ze wszechmiar zasługuje na uwagę i uznanie: — drugą: *Ostatnie dni powstania Kościuszkowego od 21. Października do 8. Listopada 1794 roku* (str. 245—318) niestety znów policzyć musimy do owych nieszczęśliwych zestawień szan. autora, prawdziwych hermafrodytów historycznych, bo to ni mężczyzna, ni kobieta, ni prosty materyał, ni artystyczna opowieść. Przejdźmy teraz do szczegółów obu tych prac.

Rozprawa o Garczyńskim, jak już powiedziałem, zasługuje ze wszech miar na uwagę tak pod względem obrobienia tematu, jak pod względem trafnego i zdrowego sądu, jak wreszcie cennego, z trudem i mozolem zebranego materyału.

Stanowisko Garczyńskiego jako pisarza politycznego bardzo trafnie charakteryzuje szan. autor temi słowy: „Pośrednie stanowisko pomiędzy Leszczyńskim i Konarskim, tak pod względem czasu wystąpienia publicystycznego (1742—1751), jako też pod względem niepośledniej wartości dzieła swego: *Anatomia Rzeczypospolitej Polskiej*, zajmuje Stefan Garczyński.

„W następstwie pamiętnego sejmku z roku 1717, który był kamieniem węgielnym złego, jakie za obu Sasów bujnie się krzewiło, i który odurzającą siłą narkotyku położył społeczność polską do długiego snu używania dobrobytu i niepamięci o istotnych potrzebach i warunkach istnienia społeczeństwa, pogrążył się naród w ostatecznej nicości moralnej, umysłowej i politycznej”. Tą drogą i przy pomocy innych jeszcze środków doszedł wreszcie naród „do kolowacizny umysłowej, której jaskrawym objawem stało się szalone godło: Polska nierządkiem stoi, i również potworne pojęcie, że mocarstwa europejskie dla utrzymania równowagi politycznej nad całością i bezpieczeństwem jej w własnym interesie czuwać winny. Uznanie stanu bezrządu i niemocy rzeczypospolitej za rękomią bezpieczeństwa jej zewnętrznego stało się pewnikiem rozumu stanu w przekonaniu najwyższych dostojników, ster rządu dzierżących, a występywanie przeciw uprawnionej anarchii i zakorzenionym przesądom uchodziło za zdradę kraju. Ztąd też sprawa reformy nader mało podówczas miała jawnych zwolenników i głośnych obrońców: a światli publicyści, którzy zdolali jeszcze zdobyć się na odwagę podniesienia głosu upomnienia, zagrożeni prześladowaniem zagorzałych, odzywali się nader ogłębnie i z nieśmiałością. Ztąd też statysci ówczesni, obawiając się zemsty ziomków, uprzedzeniem zaślepionych, występywali najczęściej bezimiennie.

„W tym to czasie najwyższego rozstroju i upadku społeczeństwa polskiego wystąpił Garczyński z dziełem swoim, na którym otwarcie własne położył nazwisko, i w którym z godną uznania odwagą cywilną przedstawił narodowi wierny wizerunek istotnego stanu jego. Doty-

kając w nim wszystkich niemal stron i cech ówczesnego życia narodowego, odzwierciedla w całej pełni świat smutnej rzeczywistości pod względem oświaty, religii, obyczajów i fizycznego stanu kraju: a obejmując ogół całej narodowej istoty, uwydatnia wszechstronnie ówczesne znamię ducha i usposobienia narodu polskiego. Ztąd też dzieło jego, zawierające żywy obraz cywilizacyjnego, moralnego i ekonomicznego stanu ówczesnej Polski, na szczególną zasługuje uwagę.“

Przystępuje potem autor do skreślenia życia publicysty wielkopolskiego, opierając się przeważnie na wiadomościach rękopiśmiennych, zaczerpniętych z archiwów poznańskich i biblioteki Raczyńskich. Nie opisujemy tutaj za nim żywota tego szlachetnego i odważnego statysty, odsyłając czytelników do samej rozprawy p. Wegnera, którą, nie wątpimy, każdy z zajęciem przeczyta.

Skreśliwszy żywot, przystępuje p. Wegner do rozbioru *Anatomii Rzeczypospolitej Polskiej* Garczyńskiego, przytaczając raz po raz wydatniejsze ustępy w dosłownem brzmieniu. Zapatrywania swoje i statysty wielkopolskiego wyklada autor jasno, z precyzją, zrozumiale, z sądem trafnym, bez deklamacyi i czczych błyskotek; własne swe zdanie zaś o tym utworze Garczyńskiego streszcza w końcu w tych jasnych i dobitnych słowach: „Wczasie rozstroju pojęć i dążności w naczelných sternikach sprawy publicznej, który zamionuje ostatnie lata Augusta III, wystąpił Garczyński z upomnieniami i przestrogiami swemi. Nie góruje on potęgą nadzwyczajnych zdolności i nie przerasta współczesnych ziomków swoich pierwszorzedną powagą umysłową, która owłada ducha narodu i prowadzi go na drogę usposobieniu i przeznaczeniom jego właściwą. Odznacza on się jednakże niewątpliwie znakomitą i niezwykłą naówczas nauką, wytrawną myślą, dojrzałością zdania, niepodległością sądu i rzadką odwagą cywilną. Jako światły i prawy obywatel, powodowany rzetelnem do ojczyzny przywiązaniem, i jako człowiek natchniony prawdziwą miłością bliźniego, nie ogląda on się na pomoc zagraniczną i nie szuka zewnątrz narodu środków zaradczych na niedomagania i słabości jego; lecz widząc, trafnym wiedziony sądem, główne źródło złego w obyczajowem i moralno-społecznem usposobieniu jego, stawia mu przed oczy istotną przyczynę politycznego, moralnego i materyalnego upadku, i ostrzega go zbawieniem, że jedynie przez wewnętrzne odrodzenie się, i tylko w własnem łonie znajdzie siły do ubezpieczenia całości i niezawisłości swej potrzebne.

„Uwagi, przestrogi i upomnienia te, natchnione duchem również myślącego jak gorliwego obywatela i głębokiem uczuciem chrześcianina, dając chlubne świadectwo zacnego usposobienia statysty naszego, który zacofane pod względem duchowym i materyalnym społeczeństwo polskie pragnął podnieść z długiego zastoju, miały wprawdzie tylko czasową doniosłość i przemijające znaczenie. Książka jego posiada jednakże istotniejszą i trwalszą jeszcze wartość. Przedstawiając żywy i z nader licznych a różnorodnych szczegółów złożony obraz wewnętrznego stanu i moralnoobyczajowego usposobienia narodu w pierwszej połowie XVIII

stulecia, zawiera ona najcenniejszy może ze znanych nam, nielicznych pomników piśmiennych, które służą za podstawę właściwego zrozumienia i bezstronnego ocenienia wewnętrznego żywota ówczesnej Polski.“

Taka jest treść, takie jest zdanie nasze o pracy p. Wegnera. Żałujemy, że równie pochlebnego sądu nie możemy żadną miarą wypowiedzieć o drugiej jego, w tym samym tomie pomieszczonej rozprawie, której tytuł już powyżej przytoczyliśmy. Rozprawa ta są to poprostu powycinane kartki z *Gazety Urzędowej* i *Gazety Warszawskiej* z r. 1794, które p. Wegner zszyl z sobą wielkimi ścięgami. Jeżeli krawiec — przepraszamy za to porównanie — pozszywa kawały sukna, nie przykrawając ich, w jedną wielką płachtę, to taką płachtą zakryć się możemy w razie potrzeby od deszczu, sloty lub zimna, lecz mimo to odzież jej nie nazwiemy. Tak i pracę p. Wegnera, w której autor nic więcej z materiałem swym nie zrobił, nazwać możemy kompilacją, zestawieniem, ale nigdy rozprawą historyczną; jeżeli zaś zestawienie takie występuje z pretensją rozprawy, my z naszej strony pretensją taką musimy uważać za zupełnie nieuzasadnioną. Na tytule pracy tej umieścił p. Wegner wyrazy: n a p i s a ł Leon Wegner, mybyśmy sądzili, że właściwiej powinien był powiedzieć: przepisał L. W. lub przynajmniej, tak jak to czynił dawniej: zestawił Leon Wegner: ze siedmdziesięciu paru stron bowiem, które praca ta zajmuje, p. Wegner n a p i s a ł rzeczywiście ledwie z jakie dziesięć; całą o wiele większą resztę zaś przepisał z *Gazety Urzędowej* i *Warszawskiej*, dodając do nich parę stron z Pamiętników Ogińskiego i dzieła Sołowiewa. W ten sposób z największą łatwością fabrykować można obszerne historyczne prace, lecz prace te ze stanowiska historycznego nie będą miały żadnej a żadnej wartości; taka robota nie jest niczem innym, jak fabrykowaniem z dwóch lub trzech książek trzeciej lub czwartej, o tyle mniej cennej, o ile mniej oryginalnej. Szczerze byśmy pragnęli, żeby p. Wegner raz wreszcie odstąpił od tej nieszcześnej swej metody, zwłaszcza, że pokazał nam w rozprawach o Ostrorogu, Garczyńskim i Kollątajcu, że i innym sposobem pracować potrafi. Tą metodą zaś zadrukuje on — da mu Bóg zdrowie — w życiu swoim jeszcze dużo arkuszy papieru, lecz około nauki naszej, około dziejów naszych nie położy żadnej zasługi; na tej drodze z czasem będzie mógł wykazać długi szereg prac nibyto przez siebie n a p i s a n y c h, lecz cóż w nich oryginalnego, cóż w nich nazwać się może jego własnością? Rzeczywiście, — szczerze mówimy, — żal nam pracowitości, gorliwości, skrzętności, żal nam przedewszystkiem zdrowego, wytrawnego i statecznego sądu i zdania p. Wegnera, które się marnują na takie kompilacje, wyczerpują w takich bezowocnych, nic nie znaczących pracach. Nie wiemy, czy szan. autor uwagi naszej uzna za uzasadnione, pragnęlibyśmy jednak z całego serca, żeby uważał je nie jako podyktowane przez złośliwość, niechęć lub złą wolę, lecz jako wypływające ze szczerzego naszego przekonania, ze szczerzejnieobłudnej życzliwości, z chęci naprowadzenia tak gorliwej pracy, tak wytrawnego sądu na właściwe, odpowiednie dla nich pole, na drogę wiodącą do celu, — z chęci wyrwania szanownego autora z tych

bezpłodnych, czezych kompilacyi. Wyznaję zresztą otwarcie, że nie pochlebiam sobie, żeby uwagi moje odniosły taki upragniony przeze mnie dla dobra nauki naszej rezultat, lecz pocieszam się słowami: *dixi et salvavi animam meam*, wypowiedziałem otwarcie zdanie moje, zrobiłem, co mogłem.

Jeżeli, jak już nadmieniono, prawie bez wyjątku zgadzamy się na zapatrywania p. Wegnera a w sądzie i zdaniu jego widzimy wszędzie dojrzałość, gruntowność i trafność, to z drugiej strony żadną miarą zgodzić się nie możemy z zapatrywaniami i dążnościami autora, którego pracę umieszczono na drugim miejscu w tomie szóstym Roczników. Autorem tym jest p. Kazimierz Jarochoński. Ten szlachecki republikanizm p. Jarochońskiego, widzący w każdym z królów naszych człowieka cychającego na złotą wolność braci szlachty, marzącego tylko o powiększeniu swej władzy nie dla dobra ogółu, nie dla wzmocnienia kraju, lecz z widoków na własną tylko korzyść, ten szlachecki republikanizm uznający każdego naszego magnata za destruktora publicznej moralności, za intryganta przekupnego i podłego, a każdego z braci szlachty za wzór czystości, patriotyizmu i szlachetności, ten szlachecki republikanizm, prawdziwy anachronizm w teraźniejszym czasie, który od upadku kraju niczego zgola się nie nauczył, ani o krok naprzód nie postąpił, a jeszcze dotąd w nieszczęsnych naszych ustawach widzi wzór ze wszech miar znakomitej konstytucyi, na której się ludzie dotąd nie poznali (naturalnie z wyjątkiem p. Jarochońskiego), dla której czas „sprawiedliwego“ osądzenia jeszcze nie nadszedł (i pewnie nigdy nie nadejdzie, dodajmy), — ten szlachecki republikanizm, reprezentowany w nowszej literaturze naszej przez Moraczewskiego, Jarochońskiego i Henryka Schmidta, dla nas jest na wskroś wstępnym i w ludziach, którzy przeciw widzieć muszą, jeżeli mają oczy, nieszczęsne skutki tych naszych ustaw, zgola niezrozumiałym.

Nie odmawiamy p. Jarochońskiemu bynajmniej uzdolnienia, owszem wcale zręcznie włada on piórem, po mistrzowsku nagina fakta do pojęć swoich, wcale udatnie przedstawia rzecz całą, — ale brak mu głębszych, systematycznych studiów dziejowych, a brak przede wszystkim zdrowych, uzasadnionych pojęć. W szablon szlachecko-republikańskich zapatrywań wciska on fakta dziejowe, nagina, ścieśnia, obcina lub rozszerza je stosownie do swej tendencji. Pan Jarochoński jest to szlachcic starej daty, który z czasów rozbiorowych i porozbiorowych niczego się nie nauczył, który stoi na tym samym gruncie, na jakim stała bracia szlachta podczas sejmików w przeszłym stuleciu, który jeszcze dziś, gdyby Polska na nowo powstała, domagałby się może już nie owej źrenicy wolności szlacheckiej *liberum veto*, ale sejmików relacyjnych i całego szeregu swobód i przywilejów, które rządowi krajowemu odbierały wszelką władzę, a z reprezentacyi krajowej, sejmu, robiły nie rzeczników i obrońców spraw całego kraju, lecz pojedynczych prowincyj i powiatów.

(Dok. nast.)

A L Z A C Y A .

(Dokończenie).

Jak majątki na cele kościelne, tak osoby na służbę Bogu, zarówno mężkie jak żeńskie, chętnie oddają Alzaci. W Alzacji znajdują się zakony z 20 rozmaitych kongregacji. Reprezentują one każdy objaw miłosierdzia chrześcijańskiego. Seminarzystów wszelkiego rodzaju jest 1000. W seminarium duchownem ze zupełnym teologicznym kursem jest więcej niż 250 alumnów; co roku święci się 50—60 kapłanów, częścią dla diecezji, częścią dla innych okolic. Niema bowiem kraju na świecie, w którymby nie było alzackich misjonarzy; najwięcej ich w Chinach i Siam, w Północnej Ameryce i u Irokiozów, w Indyach, Senegambii, w Sangwebar i Gabau, w Kochinchinie, Oceanii itd.

Kongregacją misjonarzy pod wezwaniem św. Ducha założył świętobliwy kapłan alzacki i setki Alzatów z niesłychanem powodzeniem nawracają Murzynów Afryki do chrześcijaństwa. Zakonnice nie ustępują kapłanom, którzy są ich nauczycielami i duszpasterzami, w gorliwości i poświęceniu. Setki Alzatek idą na misye, działają tam z niewymownem powodzeniem. Inne poświęcają się służbie Boga i bliźnich w kraju. Kongregacja „Siostr szkolnych“ liczy około 1200 zakonnice, które mają dom główny w Ribeauvilliers. Obok nich działają, chociaż w mniejszej liczbie, ale w równym duchu siostry z Portieux, od świętego Jana z Bassel, siostry chrześcijańskiej nauki, siostry od serca św. itd.

Siostr miłosierdzia, mających główny dom w Strasburgu jest tysiąc; odznaczyły się one bardzo w ostatniej wojnie i rząd pruski bardzo chwalebnie się o nich wyrażał; córki „Najświętszego Zbawiciela“ ufundowane roku 1749 mają główny dom w Niderbronnie i jest ich 800; poświęcają się pielęgnowaniu chorych w mieszkaniach; do obydwóch zakonów wstępują najwięcej Alzatki. Zakon Maryanów zajmuje się szczególnie chłopcami. Setki nauczycieli pracują nad chrześcijańskiem wychowaniem męskiej młodzieży i zakłady ich byłyby jeszcze liczniejszymi, gdyby im nie sprzeciwiła się biurokracja i wolni mularze.

Na wszystkie te chrześcijańskie i dobro ludzkości na oku mające cele poświęca lud alzacki to, co ludzie najniechętniej poświęcają, tj. dzieci i pieniądze swoje. Kto się tylko zwróci do ludu z prośbą o datek na cele chrześcijańskie, otrzymuje go obficie. Dla Ojca św. byli Alzaci i to właśnie średnio zamożni, nadzwyczaj wspaniałymi; wielkie bowiem majątki znajdują się w rękach bardzo bogatych fabrykantów departamentu wyższego Renu, którzy są przeważnie protestantami. Do wojska papieskiego zaciągnęła się także stosunkowo znaczna liczba Alzatów, bo 300 młodzieńców z dobrych familij.

Dla licznej, uczącej się młodzieży, a mianowicie dla alumnów do stanu duchownego, nie wystarczały budynki. Ksiądz biskup postanowił w skutek tego wybudować wielki nowy gmach i dokonał tego, bo już dzisiaj stoi gotowy w Strasburgu, za milion przeszło franków, a drugi gmach, na który hojnie wpływają jałmużny, buduje się w bliskości Mühlhausen. Na rozszerzenie wiary daje Alzacja rocznie 120.000 fr.; składki na ten cel zbierają się w bardzo drobnych datkach; tak więc składa się na nie właściwy lud w ścisłem znacze-

niu. Nadto zbierają znaczne składki na Towarzystwo św. Franciszka Salezego i inne; na samo Towarzystwo „Niemowlęctwa Jezusowego“ zbierają rocznie 30.000 fr. Składki na nie wynoszą tylko po jednym sous¹⁾

Do wszystkiego dobrego jest pobudką duchowieństwo alzackie. Nie potrzeba ani przymusu, ani namowy, wystarczy prośba proboszcza i odwołanie się do chrześcijańskiego miłosierdzia. Obok tych składek prywatnych, wydają także gminy jako takie bardzo wiele. Według sprawozdania rady jeneralnej departamentu wyższego Renu, na rok 1866 wydały gminy na kościoły 334,253, na plebanie 28.550, na szkoły 129.397, na cmentarze 9.712, na rozmaite roboty 124.128, a więc razem 626.040 franków. Z tegoż sprawozdania okazuje się, że na cały departament jest tylko 11 domów szkolnych w niedobrym stanie.

(*Tyg. Katol. Nr. 38 z 23 września.*)

DWUTYGODNIK POLITYCZNY.

Pierwszą afirmacją polityczną w Austrii jest utrzymanie jej bytu. Afirmacja ta ma ledwie za sobą, przyznać to trzeba z boleścią, małą bardzo mniejszość. Utrzymanie Austrii jest niewątpliwie jedną z najwyższych potrzeb i warunkiem ratunku cywilizacji chrześcijańskiej, szczątek niepodległości narodowej w Europie. Jakkolwiek narzuconą sobie konstytucją, narzuconą nie z góry lecz z dołu, Austria wyparła się cechy katolickiej i stara się zatrzeć charakter chrześcijański — wszelako zrządzeniem Opatrzności do bytu starej katolickiej monarchii przywiązana jest idea chrześcijańska i katolicka, której wyprzeć się ona nie może, bo taka jest natura i loika faktów. Jak Francya wbrew rewolucyjnemu i ateistycznemu duchowi nurtującemu w jej wnętrzu, trzymała sztandar chrześcijański i katolicki, tak Austria postawiona pomiędzy dwoma aglomeratami, z których jeden jest polityczną parafrazą Lutra i Hegla a drugi uosobieniem ducha schyzmatycko-nihilistycznego, bytem swoim osłania jeszcze ostatnie szczątki chrześcijańskiej organizacji świata. Odmawia ona kościołowi praw, jak i inne państwa, ale osłania narody katolickie od zagłady.

Z dumą wyznać nam przychodzi, że przy tej pierwszej afirmacji, przy afirmacji bytu i utrzymania państwa najszczerzej, najwierniej, z pełnem poświęceniem stoją w pierwszym rzędzie Polacy. Oprócz katolickiego Tyrolu niema w monarchii prowincyi, któraby tak do głębi i tak jednolicie stała przy tym sztandarze i przy tym

¹⁾ Mniej więcej do ośmiu centów.

starym tronie Habsburgów. Nie ma u nas zgody co do środków i systematów. niejasność pojęć a nawet brak zasad wywołuje kłótnie stronnictw lub osobistości, pociąga za sobą częstokroć zbrocenia i niekonsekwencyę — ale na tę wiotką, zasadniczą afirmacyę utrzymania Austrii i wzmocnienia jej potęgi jest zupełna zgoda wszystkich stronnictw od tak zwanych Stańczyków aż do p. Smolki. Węgrzy mający poważne w monarchii stanowisko, dziś może gotowi do objęcia steru państwa, zdradzają dość jawnie dążność zbudowania z ruin państwa nowego gmachu, gmachu cesarstwa wschodniego, czy państwa węgierskiego. Przeprowadzenie w przyszłość organicznej idei, na jakiej w pierwotnym swym rozwoju wzrosła Austria, idei, która dziś bardziej niż kiedykolwiek odrodzić się jest powołaną, utrzymania związku ludów, któreby pod ochroną starej dynastii stawiły czoło dwóm miazdzącym prądom z zachodu i wschodu, zgoła uznanie potrzeby utrzymania Austrii w dzisiejszym jej składzie -- tego nie mają Węgrzy, upojeni powodzeniem i marzący o hegemonii czteromilionowego szczepu nad wschodem Europy. Wszelako stoją oni przy tronie, o ile go uważają za swój, a dążąc do swoich marzeń, pragną wzmocnienia potęgi w celach zewnętrznej polityki, celach zbliżonych do naszych interesów. Łudzą się tylko w tem, że można rozwinąć potęgę nazewnątrz, nie wyrobiwszy podstaw wewnętrznej harmonii i miru.

Słowiańskie ludy Austrii, a mianowicie przeważny na nie wpływ wywierające Czechy, o ile wierne kościołowi, tyle też są wierne tronowi i państwu. Częstka zaledwie, ale częstka hałaśliwa i ruchliwa, ulegając w Czechach husytyzmowi a między Słowianami węgierskimi i galicyjskimi agitacyom schyzmatyckim, daje przystęp marzeniom panslawistycznym. Znów i tutaj kryterium religijne jest kluczem usposobień politycznych. Częstka ta opinii we wszystkich ludach słowiańskich stanowiąca tylko frakcyę, tylko koterye rewolucyjne lub nihilistyczne, o ile odstępuje kościoła, o tyle też odstępuje idei austriackiej, ale zarazem odstępuje też swojej idei narodowej. Jak frakcyja Świętojureców wypiera się Rusi dla 60-milionowej ojczyzny kałmucko-tatarsko-moskiewskiej, podobnie Husyci czescy, lub do schyzmy przechylający się Słowianie węgierscy twierdzą, że ich ojczyzna powinna się przetopić w wielkim aglomeracie słowiańskim. Ale te potworne ostateczności, po trzykroć odstępce, bo odstępce wobec kościoła, państwa i ojczyzny, są tylko frakcyjami, są tylko odroślą wielkiej kosmopolitycznej rodziny komunistyczno-nihilistycznej!

Większość ludów słowiańskich stoi przeto przy tej afirmacyi

utrzymania Austrii, bo stanowiąc jej podstawę, są one rzechy można nią samą; po za Austrią czekałaby ich zagłada i zniszczenie, lecz w niej pragnęłyby zająć należne sobie stanowisko, budząc się z wiekowej bierności. Do tego uprawnionego dążąc celu muszą zwalczać dwie hegemonie, dwie przewagi niemiecką i madziarską. Walka taka z natury swojej nie może się prędko zakończyć, a choć w niej Czesi i Morawcy przewodniczący temu ruchowi nie sięgają po za granice Austrii, zdają się jednak wobec kwestyi bytu państwa stawiać pierwaj pytanie jak być — niżeli aby być? Jako żywioł zepchnięty od wieków z przynależnego sobie stanowiska, z natury swego położenia muszą oni sięgać głęboko i opierać się na pierwotnem prawie historycznem. Jest w tem dążeniu prawnohistorycznem jakiś legitymizm ludowy, jak go *Czas* nazwał, który w epoce zniszczenia legitymizmu międzynarodowego i politycznego a ogólnej negacyi przeszłości ma wielkie znaczenie.

Niemcy wreszcie w Austrii, ten żywioł niegdyś służący za kit monarchii, dziś jeszcze tak wpływowy — na ową afirmacyę bytu państwa odpowiadają w znacznej większości przecząco. Wobec potężnego w naszych czasach prądu mistyfikacyjnego, jaki skutkiem postawionej przez Napoleona III fałszywej zasady narodowości przebiega ludy europejskie, wobec nagłego i olbrzymiego rozrostu potęgi niemieckiego jednolitego państwa — dziwić się temu trudno. Wiedeń jest dziś tem czem była Wenecya między rokiem 1859 a 1866. Wszelako Niemcy do ostatniej chwili nie chcą się zrzec hegemonii w państwie. Rzecz przeto dziwna i tragiczna zarazem, że ster państwa spoczywa często w rękach tych żywiołów, które nie stoją o byt państwa, o przyszłość Austrii jako Austrii, która jest w rękach Węgrów i Niemców. Pierwsi dążą do utworzenia nowego państwa, drudzy do przyłączenia się do państwa ościennego.

Taki przedstawia nam się pokrótce stosunek ludów austryackich do siebie i do państwa. Chcąc przejść do świeżych przemian i wypadków gabinetowych, stanowiących jedyny materiał naszego dzisiejszego sprawozdania, winnibyśmy wyłożyć teorię dualizmu, przedstawić dążności federalne i ugodne — lecz ograniczymy się tylko na przedmiotowem przedstawieniu wypadków, aby nie nużyć czytelnika teorią.

Hr. Hohenwart, jakeśmy to już przewidywali w przeszłej naszej pogadance, runął, a z nim runęła akcyja ugodna tak daleko już posunięta. Obaliła go intryga zręcznie wysnuta, ale upadł z godnością, wierny do końca powziętym zobowiązaniom, niechęący co-

fnąć danych raz przyrzeczeń, ani zmienić przekonań. Wśród coraz większego rozbratu moralności z polityką, wśród szerzenia się zasady bezzasadności, bo w zasadę już przechodzi twierdzenie, że zasady wykluczone być powinny z sfery czynu politycznego, świetny i pocieszający wyjątek stanowił p. Hohenwart wraz z swoimi kolegami. Stanowczość, dobra wiara, charakter i przekonanie — nie, to nie są przeszkody powodzenia — to są etyczne warunki niezbędne do stworzenia czegoś, coby się ostało, a te warunki miał właśnie hr. Hohenwart, i dlatego zdołał doprowadzić węzeł gordyjski ugody czeskiej do punktu bliskiego rozwikłania. Upadł jednak pod naciśkiem intrygi, złej wiary i owej bezzasadności, której był niejako uosobieniem hr. Beust, ale też pociągnął za sobą i tego, który go powalił.

Korona uledez musiała naciskowi z różnych stron wywieranemu, przyjął cesarz z szczerym żalem dymisyę wiernego doradcy hr. Hohenwarta, ale także usunął i tego, którego imię smutno zapisane w dziejach zupełnego zniewolniczenia Saksonii i klęsk Austrii.

Złym duchem Austrii był niewątpliwie hr. Beust. Przez pięcioletnie swoje rządy zawikłał sprawy państwa tak wewnątrz jak na zewnątrz. Ustanowił nieszczęsny dualizm, z którego wyjście tak się stało trudnem; poniżył stanowisko Austrii w Europie. Przeciwnik Prus, spariżował jednak możliwy opór środkowej Europie przeciwko nagłemu rozrostowi tego państwa i pogromowi Francyi; doprowadził też starą monarchię Habsburgów do tego punktu, na jakim stała niegdys Saksonia, to jest niemal do lennictwa, spanoszonego niegdys lennika polskiego. Nie było upokorzenia, przed któremby zasłonił monarchię, nie było odstępstwa i zdrady, którejby nie doradzał. Ależ bo w chwili stanowczej dziejów ster monarchii katolickiej wpadł w ręce protestanta, którego pierwszym było staraniem zniszczyć to, na czem moralna potęga, urok i tradycya apostolskiego imperyum się opierała. Rolę, jaką odegrał Kaunitz wobec rozbioru Polski, odegrał Beust wobec rozbioru Rzymu, z tą tylko różnicą, że popierając i osłaniając dzieło przeciwne interesom moralnym i politycznym monarchii, zgubne w swoich skutkach dziejowych, nawet nie miał wymówki teoretycznych nabytków, jaka służyła do rady Józefa II. To darmo, tradycya nawet prymatu politycznego musiała się wysliznąć z rąk następców cesarzów rzymskich i niemieckich z upadkiem Rzymu, na którym mimo przejściowych sporów, ten prymat cesarzów zawsze się opierał — musiał on też przyjsć w ręce protestanckiego dorobkiewicza na świeżo krwią sklejonym

tronie samozwańczego cesarstwa, skoro antykatolickie i antychrześcijańskie prądy doprowadziły do zaboru Rzymu i upadku władzy doczesnej papieżów.

Pamiętną obok cynicznego zachowania się kanclerza w sprawie zaboru Rzymu jest także rola, jaką odegrał w obaleniu konkordatu. Niech nam wolno będzie dla urozmaicenia tej politycznej kroniki przytoczyć charakterystyczną anegdotkę. Wiadomo, że pan Beust usprawiedliwiał zgwałcenie konkordatu tą sofistyczną teorią, że skoro papież nie był jeszcze uznanym nieomylnym, gdy zawierał konkordat, po ogłoszeniu dogmatu, twierdził dyplomata czeski, osoba papieża się zmieniła, i że rząd austriacki nie był już zobowiązany dotrzymać traktatu zawartego z Głową Kościoła, której prawa i atrybucye rozszerzone i niejako istota moralna przemieniona.

Jedna ze znakomitości polskich, podówczas dyplomatyczne zajmująca stanowisko w obecności kanclerza, opowiadała historię procesu rozwodowego, który się toczył w Anglii. Jakiś Anglik wyczytawszy w dziele fizyologicznem, że ciało ludzkie w skutek pokarmów wchodzących w organizm, co lat siedm się odradza i przemienia, podał o rozwód, twierdząc, że małżonka przed ośmiu laty poślubiona, nie jest już tą samą osobą, z którą on zawarł związki małżeńskie. Anegdotka zabawiła obecnych, a nasz znajomy dodał złośliwie ale trafnie, czy ostatnia nota kanclerza w sprawie konkordatu nie przypomina owego Anglika, wymawiającego się od dotrzymania wierności małżeńskiej twierdzeniem, że istota jego żony nie jest już tą samą.

Pana Beusta zastąpił hr. Andrassy. Było to nieuniknionem, dwoiste bowiem kierownictwo monarchii od początku chromiące, było nadal niemożliwe. Albo równowaga wszystkich żywiołów monarchii, rozwinięcie zasady samorządu i równouprawnienia narodowego czyli innemi słowami federacya — albo rząd i kierunek jednego. Dualizm, który miał być ratunkiem dla hegemonii niemieckiej, stał się drogą dla hegemonii węgierskiej. Niemcy stracili znaczenie polityczne w Austrii, która stopniowo zamienia się w państwo węgierskie. W polityce zagranicznej dójście Węgrów do steru jest o tyle korzystnem, że Węgrzy zaślepieni pod wielu względami, jedno widzą jasno — to jest niebezpieczeństwo od Rossyi. Tej przepaści, jaką interwencya cesarza Mikołaja na Węgrzech wykopała, nie zapełni żadna polityka, a tem mniej polityka uczestnika rządu rewolucyjnego z 1848 roku, a następnie wygnańca. Kierunek tej polityki niewątpliwie stanowczej a dla nas ile niebezpieczeństw tyle

i nadziei rokującej, może tylko do czasu wstrzymywać i krzyżować wpływ Berlina, któremu hołduje hr. Andrassy.

Ministerjum przedlitawskie w chwili kiedy piszę te uwagi, nie jest jeszcze stanowczo utworzone. Już owej nici ugodowej, mającej organizm monarchii wzmocnić i odrodzić nie nawiąże następca hr. Hohenwarta. Ale też, jak się był poufnie wyraził jeden z członków gabinetu hr. Hohenwarta, jeżeli przyszedł rząd trzymać będzie na wodzy Czechów i Słowian, to nie da także Niemcom swawolić. Węgrzy umieli u siebie zaprowadzić ład; wpływając teraz bezpośrednio na stosunki przedlitawskie, nie dozwolą, aby dezorganizujący element liberałów wiedeńskich szerzył dalej anarchię. Jeżeli pod względem katolickim nie daje nam żadnej ręką wątpliwa ortodoksja mężów stanu węgierskich — to coraz większa stanowczość korony nabierającej siły w miarę walących się na nią prób i gromów, winna nam służyć za tę rękojmnię, że bezwyznaniowości zostanie wreszcie postawiony kres.

Co do stosunku tych wszystkich przemian do naszego kraju, mamy jedną wskazówkę w kwestyi teki ministeryalnej dla p. Grocholskiego. Gdy hr. Hohenwart z swymi kolegami podawał się do dymisji, zacny nasz rodak, jak na szlachcica polskiego przystało, rzekł: „tu niema kwestyi osób, tu jest kwestya systemu, albo nas wiązała jedna myśl lub nie, ja się od swych kolegów nie oddzielam.“ Cesarz dymisji p. Grocholskiego nie przyjął, uwzględniając szlachetność jego postępków, ale chcąc, aby zachowując swoje stanowisko p. Grocholski przekonał się o niezmiennej woli monarchy uwzględnienia praw Galicyi. Dziś pozostanie p. Grocholskiego lub cofnięcie się będzie najlepszą próbą i wskazówką przyszłego systemu, czy zgodny jest z wolą monarchy, bo oczywiście, że p. Grocholski tylko wtenczas zachowa swoje stanowisko, jeżeli program hr. Kellersperga uwzględni żądania Gzlicy.

Wobec zawikłań austryackich europejska polityka w ostatnich dwóch tygodniach nie przedstawiała wiele materiału. Zjazd w Liwadi garnących się pod protektorat Rossyi książąt, demonstracje panslawistyczne za powrotem ks. Milana do Serbii — oto symptomata ważne i groźne, a nie bez związku z objęciem przez hr. Andrassego, największego wroga panslawizmu, steru spraw austryackich. Wszystkie te symptomata zdają się wróżyć zbliżenie się stanowczej chwili, kiedy znów Austrya powołaną będzie ratować cywilizację i chrześcijaństwo od zalewu wschodniego i do odparcia schyzmy, jak niegdyś Polska odparła islamizm. Jako organizm polityczny

Polska Sobieskiego nie była silniejszą od dzisiejszej Austrii, ale czy znajdzie się w Austrii ten duch chrześcijański i katolicki, ten święty ogień Krzyżowców, który z anarchicznej naszej szlachty zrobił zbawców chrześcijaństwa! Anarchia polska nie była bezwyznaniową, a przesadna miłość wolności szanowała jedno prawo, prawo boże i w niczem do dzisiejszego liberalizmu nie była podobną. Austria katolicka mogłaby spłacić długi dziojowe Polsce i chrześcijaństwu, ale jeśli dojdzie kiedyś do walki dwóch prądów jednego pod sztandarem bezwyznaniowości, drugiego pod sztandarem nihilizmu, to skutek nader problematyczny.

Półurzędowe organa bismarkowskie wynalazły nową teorię w dalszym ciągu walki przeciwko kościołowi. Ks. Bismarkowi widocznie zawadza już Belgia, jako ognisko gorącego życia katolickiego i stanowczej walki zasad katolickich z rewolucją i ateizmem. Woła też jego organ: „international czarny i international czerwony — ultramontanizm i komuniści to dwie skrajności sobie pokrewne a cywilizacyi zagrażające.“ Doprawdy, nie wiemy, czy ks. Bismark udzielił tego genialnego komunału p. Kraszewskiemu, czy p. Kraszewski Bismarkowi, czy tylko *les beaux esprits se rencontrent*, bo równocześnie niemal spotykamy to samo zestawienie ultramontanów i internationalu w *Strzesze* z podpisem arcykapłana starokatolików polskich i w *Allgemeine National-Zeitung*. Nie dziwiłoby nas wcale, gdyby p. Kraszewski udzielał swoich natchnień ks. Bismarkowi, wszak stał się już i tak polityczną osobistością europejską. Mógł mu udzielić król Wiktor Emanuel jedną z najwyższych dekoracyi, i to jak pisze pan Kulezycki w *Kraju* w nagrodę za znoszone prześladowania od ultramontanów i za stanowisko zajęte wobec ks. prymasa Ledóchowskiego — to tem więcej, mógłby cesarz Wilhelm ozdobić p. Kraszewskiego orderem orła czarnego za obronę monachijskiego zboru i za tę samą opozycję przeciwko ks. Ledóchowskiemu, który bardzo musi żenować działania ks. Bismarka w szerzeniu odszczepieństwa.

Po tej drodze dekoracyi od obcych dworów za walkę przeciwko dostojnikom kościoła polskiego i za krzewienie odszczepieństwa od Rzymu, dojść bardzo łatwo może p. Kraszewski do dekoracyi, która mu będzie nie wątpim� bolesną, do św. Anny lub św. Jerzego. Nie zdaje on sam sobie sprawy, jak dalece na nią już teraz zasłużył. Mieli też słusność owi rodacy w Wenecyi, którzy jak sam wyznaje w *Strzesze* na widok jego odwracali się — miała słusność owa zacna jego krewna, która się go zapytała, gdzie on

zaszedł, i czy pomni na przyjaźń arcybiskupa H. . . . skiego i ks. S. . . . za dawnych lat na Wołyniu? Sam przytacza, nie wiemy czy z cynizmu czy już w skutek osłabienia, takie świadectwa przeciwko sobie, a brnie coraz dalej!

Świeżo zerwał on przyjaźń z jednym z najzacniejszych męczenników narodowych, która mu zaszczyt przynosiła — dla p. Gumplowicza wyparł się Bronisława Zaleskiego i dla wiarogodnego Kulczyckiego ośmielił się zarzucić nieprawdę ustom, które się nigdy kłamem nie skalaly. O! jak bolesny taki upadek człowieka, w którym miłość własna zabiła poszanowanie samego siebie.

Jakżeż od tej dekoracji włoskiej, która jest jakoby nagrodą za moralne uczestnictwo w gwałtach przeciwko kościołowi dokonanych, odbija odmiennie to zaszczytne odznaczenie trzech uczestników¹⁾ deputacyi wielkopolskiej do Rzymu. Ojciec św. sam niewolnik zdbi synów niewoli za wierność kościołowi. Tam nagrodzone pochlebstwo sile i powodzeniu, tu wierność nieszczęściu, tam potwarz i dążność do odszczepienia — tu gotowość do ofiary i stałość w wierze.

7.

Errata. W przeszłym dwutygodniku skutkiem nieuwagi korektora wydrukowano na str. 659 drugi wiersz od dołu: „Mefisto wobec Franka“ zamiast: Fausta.

K r o n i k a.

Dwudziestego siódmego zeszłego miesiąca Ojciec św. przekonując biskupów miał do zgromadzonych w Watykanie kardynałów allokucyą, jaką wedle tłumaczenia *Czasu* tutaj podajemy:

Wielebni Bracia!

„Zwołaliśmy tu wasze pełne kolegium, z zawieszeniem uroczystości zwykłego obrzędu, aby was ze względu na ważność rzeczy zawiadomić o tem, co dla zaradzenia duchownym ludu chrześcijańskiego potrzebom we Włoszech, uczynić postanowiliśmy. Zbytecznem byłoby tu rozbierać z wami wielebni bracia to, nad czem kilkakrotnie w allokucyach i encyklikach Naszych do wszystkich biskupów wystosowanych ubolewaliśmy. Znane bowiem są i wszystkim tak jawne, iż bez najmniejszego bezwstydu zaprzeczone lub dla uchylenia ohydy tłómaczeniem osłonięte być nie mogą, owe wrogie i ogromne krzywdy, jakie już dawniej i ustawnie w nieszczęśliwych Włoszech wyrządzane są Kościołowi katolickiemu i Stolicy Apostolskiej, i jakie po zajęciu siłą miasta tego, My sami z wami cierpieć i patrzeć na nie zmuszeni jesteśmy, tak iż słusznie powtórzyć możemy słowa króla Proroka: *widziałem nieprawość i przeciwieństwo w grodzie, dniem i nocą niepra-*

¹⁾ PP. Józef Morawski, Stanisław Czapkowski i Kujet m. Morawski.

wość otaczać go będzie po nad mury, a w pośród niego cierpienia i niesprawiedliwość. Zaiste Wielebni bracia! tylu gromadzących się nieszczęść bałwanami prawie już pochłonięci, nie wzdrygamy się bynajmniej, gdy Bóg słabość naszą wzmocni, sroższych jeszcze doznawać; owszem samej nawet śmierci najchętniej czoło stawić jesteśmy gotowi, jeżeli się Bogu miłosiernemu podobać będzie za pokój i wolność tego Kościoła przyjąć pokorną ofiarę naszą.

Oddawna między tylu innemi, najprzykrzejszą zawsze ze wszystkich było dla Nas przyczyną boleści, opróżnienie największej części stolic, które w nieszczęśliwych Włoszech długo już pozbawione są opieki swoich biskupów, i wynikająca z tąd pomocy duchownej potrzeba, jaka wiernym ludom w owych nieszczęsnych rzeczy i czasów warunkach coraz bardziej uczuwać się daje. Gdy atoli ta potrzeba tak się wzmożła, iż nie możemy już w obec naglącego nas miłosierdzia Chrystusa pomijając jej dłużej, rozpatrzywszy się w ogromnej liczbie opróżnionych stolic w obszernych i najludniejszych prowincjach włoskich, które za ledwo po dwóch lub trzech liczą biskupów, przyjrząwszy się nieustannego przeciw kościołowi prześladowania zainachom i usiłowaniam bezbożnych wytępienia wiary katolickiej w sercach Włochów, przyjrząwszy się największych wstrząśnień niebezpieczeństwom, które nawet świeckiemu zagrażają społeczeństwu, osądziliśmy, iż dłużej Nam się ociągać nie wypada w niesieniu o ile możności pomocy ukochanym wiernym synom Włoch, których wołania, skarżących się na swoje sierocत्व, często do Nas dochodziły, i w nadaniu im górujących cnotą biskupów, którzy wzięwszy sobie za cel chwałę Boga i zbawienie dusz, ku niemu całą swoją pieczołowitość i żarliwość zwracają.

Własnych przeto biskupów osieroconym Włoch kościołom w imię Jezusa Chrystusa Syna Bożego, częścią dnia dzisiejszego wyznaczamy, częścią rychło w przyszłości zamianujemy, ufni, że Ten co Nam nadał władzę i obowiązek zakreślił, przez nieskończone swoje miłosierdzie usunąwszy wszystkie trudności, gdyby je temu Naszego urzędu dziełu stawiać chciało, błogosławić będzie i sprzyjać owym staraniom Naszym jedynie dla duchownego dusz zbawienia podjętym. Zarazem atoli wobec całego kościoła protestujemy, iż rękojmie owe, zwane *guarentigie*, jak to już w encyklice Naszej z XV maja jasno wyraziliśmy, całkiem odrzucamy i otwarcie oświadczamy, że w wykonywaniu najważniejszej części Naszego apostołstwa, używamy władzy oł tego nadanej, który jest księciem pasterzy i biskupem dusz Naszych, to jest władzy przez Jezusa Chrystusa Pana Naszego Nam przekazanej w osobie błogosławionego Piotra, *od którego*, jak mówi Św. Innocenty poprzednik Nasz, *sam episkopat i cała władza imienia jego pochodzi*.

Przy tej sposobności pominąć nie możemy milczeniem bezbożnego niektórych ludzi w innych Europy krajach zuchwalstwa i przewrotności, którzy nędznie zbaczając od prawideł i wspólności z kościołem katolickim, bądź pamphletami pełnemi błędów i kłamstw różnego rodzaju, bądź obchożąc świętokradzkie między sobą zebrania, otwarcie uderzają na władzę powszechnego soboru watykańskiego, na prawdy wiary przezeń uroczyście uznane i określone, a szczególnie na najwyż-

szą i pełną sędziowskiej powagi władzę, którą Papież rzymski, błogosławionego Piotra następcą, nad całym kościołem z postanowienia Bożego piastuje, jakoteż na nieomylnego nauczycielstwa prerogatywę, jakiej ten używa w wypełnianiu urzędu najwyższego dusz Pasterza i Doktora, gdy chodzi o określenie nauki wiary i obyczajów.

Dla tego to owi synowie zatraty podniecają przeciw kościołowi katolickiemu prześladowanie władz świeckich i chytrze wmówić w nie chcą, że przez postanowienia soboru watykańskiego stara nauka została zmienioną i że ztąd wielkie wynikło niebezpieczeństwo dla samego państwa i społeczeństwa świeckiego. Cóż można wielebni bracia! nad te potwarze bardziej nieprawego a zarazem bezrozumniejszego zmyślić lub wymyślić? Niemniej ubolewać potrzeba, że gdzieindziej zdarzyło się, iż sami ministrowie państwa, zwiedzeni tego rodzaju niegodziwymi podszeptami, nie wahają się otwarcie opieką swoją osłaniać i sprzyjaniem utwierdzać nowych sekciarzy w ich buncie. Użalając się dziś ze smutkiem przed wami pobieżnie i w krótkich słowach, czytujemy za obowiązek Nasz oddać w zupełności zasłużoną pochwałę z cynam tego kraju biskupom, między którymi wielebnego brata arcybiskupa monachijskiego dla honoru zresztą wymieniamy, którzy szczerogólnem zespoleniem umysłów, żarliwością kapłańską, dziwną siłą i wybornymi pismami sprawy prawdy przeciw tego rodzaju zamachom jak najświetniej bronią, a część owej pochwały przyznajemy wzorowej pobożności i religii całego duchowieństwa i wiernego ludu, który za pomocą Bożą, pieczołowitości swych pasterzy sownie odpowiadają.

Lecz nam tymczasem wielebni bracia! tam zwracać trzeba oczy i zyczenia serca, z kąd nieuchronna rychła nadejść może pomoc. Nie przestajmy więc we dnie i w nocy wołać do najlaskawszego Boga, aby przez zasługi Jezusa Chrystusa syna swego zesłał światło w umysły błądzących, iżby dostrzegłszy przepaść swej drogi, nie opóźniali się w staraniach o wiekuiste zbawienie, w kościół zaś swój, aby w owej walce nie przestawał wlewać hojnie ducha siły i wolności, i raczył przyspieszyć dla niego przez dar dzieł świętych, przez godne owoce wiary i ofiary sprawiedliwości upragnione dni laski, a po uchyleniu owych błędów i przeciwności i po przywróceniu panowania sprawiedliwości i pokoju, aby wrócił majestatuvi jego wianą dań chwały i dzękczynienia.“

Allokucya ta głębokie sprawiła wrażenie w całej Europie — katolikom dodała sił do nowych zapasów z wrogami Kościoła. Pochwaleni katolicy w Niemczech w osobie czcigodnego Arcybiskupa z Monachium — za odważne występowanie przeciwko niegodziwym rozporządzeniom i mowom ministra rządu bawarskiego z tem większą gorliwością bronić będą praw i dogmatów wiary swojej. Döllingerianizm wreszcie otrzymał cios stanowczy. To też protestanckie i rewolucyjne dzienniki spostrzegły śnać jakich sił dodała allokucya wiernej działwie Kościoła, jakiej jest ona doniostości, kiedy podniosły przeciw niej krzyk niesłychany. Jeden tylko *Times* angielski mówił o niej nie tylko z umiarkowaniem, ale uznał nawet chociaż niechętnie, że położenie Ojca św. w Rzymie nie pozwoli Mu wkrótce zarządzać swobodnie Kościołem. Dzienniki zaś włoskie, mianowicie rzymskie, rewo-

lucyjne, z całą zaciekłością rzuciły się na allokucya. Niema obelgi i potwarzy aby jej nie użyły — przez dni parę kolumny dziennika *La Capitale* przepemione były tego rodzaju inwektywami — nawet i na Osobę Piusa IX rzucił się rozwścieklony ze złości żydowin Arbib, redaktor dziennika. A jest-to półurzędowy organ rządu włoskiego. Tak to świętokradzki najezdnik dotrzymuje przyrzeczeń szanowania Majestatu Głowy Naszego Kościoła! — pierwszy, znieważa Ją przez najemne pióro żydowina. Jest wolność znieważania i przesładowania, ale niema wolności bronienia się przeciw zniewadze i uciskowi. Dzienniki katolickie ile razy śmieiej ją podejma, wnet ulegają ogromnym taksom i konfiskacie. Niedawno mały dzienniczek rzymski *La Palestra*, za to, że zestawił szereg ustaw za obecnego rządu wydanych i wykazał, że wprowadzone w wykonanie do zupełnej nędzy mieszkańców Rzymu przyprowadzić muszą — został skonfiskowany; inny, dzielnny dziennik *Frustra*, obłożony został grzywnami 3000 franków wynoszącemi a jego redaktor skazany na 18 miesięcy więzienia! Taką to wolność mają katolicy w Rzymie!

* * *

Były minister spraw zagranicznych, p. Jules Favre, wydał niedawno temu broszurę wyjaśniającą jego stanowisko w sprawach dyplomatycznych. Pokazuje się, że on, rewolucjonista, daleko więcej był życzliwym dla papieża niż pierwszy minister katolickiego monarchy — owszem, ostatni, właśnie wszystko co tylko mógł to robił, aby na Kościół nałożyć pęta. Jak po pierwszej przegranej Napoleona, Beust dodał odwagi rządowi włoskiemu do zagrabienia Rzymu, tak i później on pierwszy nakłaniał rząd francuzki, aby swojego posła z Florencyi posłał na mieszkanie do Rzymu. P. Jules Favre opowiada o kilkakrotnych zabiegach robionych w tym celu przez księcia Metternicha i Nigrę, którym stanowczo się opierał. Jeżeli ten postępek mógłby był przynieść niemało zaszczytu bylemu ministrowi, to sfalszowaniem słów Ojca św. do hrabiego d'Harcourt (Ojciec św. miał niby powiedzieć: że „chociażby Mu ofiarowano zwrócić zabrane posiadłości, toby ich nie przyjął“) jedną więcej nieuczciwością imię swoje okrył — Pius bowiem IX powiedzieć tego nie mógł, bo wie, lepiej od nas katolików, że do dotrzymania przysięgi Kościołowi złożonej, jest obowiązany. Rzym i państwo kościelne nie tylko do papieża ale do Kościoła całego należy. Pius IX wiarołomcą nie będzie nigdy! To też półurzędowy organ Ojca św., *Osservatore Romano* a za nim *Correspondence de Genève* lekkomyślnego pana Favra napiętnowały za tę uczynioną przez niego obelgę Ojcu świętemu w należyty sposób!

* * *

Dobrze wysłużona nagroda. Nareszcie za swe wycieczki przeciw Ojcu Św. i kościołowi, za swe oszczerstwa na sobór, a za swe dytiramby na cześć zaboru dzierżaw kościelnych i Rzymu, p. Kraszewski otrzymał świetną i odpowiednią nagrodę. *Kraj* donosi, że bylemu redaktorowi bylego *Tygodnia* Drezdeńskiego, Wiktor Emanuel, w uznaniu prac jego publicystycznych, nadał order korony włoskiej. Winszujemy. Poszedł w senatory. Odtąd więc z kawalerem tak wysokiego orderu, będziemy musieli postępować bardzo ostrożnie. Nikt nam przecież za złe nie weźmie ciekawości, jak też ten radykalizm, drapujący się w katońską cnotę, a z pogardą dla błyskotek, dla królewskości i

dworactwa, wyglądać będzie z koroną na swych spartańskich piersiach? Ale czemuże się dzieje, że samowładny hrabia Kulczycki, takiej-że samej nagrody jednocześnie nie osiągnął? Miałoby narzędzie być zaszczyconem, a ręka, co na niem gra, pominięta? Co za niesprawiedliwość! Lecz jak usługi, tak może i nagrody jedne są jawne, drugie tajemne. Bądź co bądź, w obozie radykalnym wielka radość z tej nowej ręką, że Włochy kiedyś wyswobodzą Polskę. Mówią też, że na uczczenie krzyża na łanego swemu mistrzowi, Kraj ma przybrać tytuł *Gazety Krzyżowej* radykalizmu.

* * *

Dwaj ultramontanie. W ciągu zeszłego lata umarł w Poznańskim człowiek rzadkiej pokory, zrzeczenia się siebie samego, pobożności, a przytem pelen zasług w sprawie umoralnienia ludu wiejskiego, Edmund Bojanowski. Całe życie jego było jednym ciągiem miłosiernych uczynków. Starannie wykształcony, wstąpił on najprzód w zawód literacki. Pisywał rozprawy w rozmaitych przedmiotach religijnych, moralnych, estetycznych, wierszował niekiedy, tłumaczył z obcych języków, podobno *Manfreda* udatnie przełożył. Ale wnet zrozumiał, że nie to było prawdziwym jego powołaniem. Oddał się więc całkowicie pracom, zdążającym do podniesienia bytu moralnego i umysłowego w ludzie wiejskim. Zamieszkuje wioskę, o ćwierć mili od Jasnej Góry Gostyńskiej, na której stoi sławny klasztor ks. Filipinów, położoną, miał sposobność zapoznania się nie tylko z ludem okolicznym, ale i z licznymi pielgrzymami, którzy tam na odpusty tłumnie ze wszech stron przybywali. Zbadał więc doskonale potrzeby i usposobienia naszych kmiotków. Sam nadzwyczaj pobożny, zawsze, czy zimą, czy latem, piechotą na mszę św. do klasztoru gostyńskiego podążał. W tych to nabożnych, a samotnych przechadzkach, dojrzewała w jego sercu i głowie myśl, która miała przynieść błogie skutki dla całego naszego ludu. Nim jednak wprowadził ją w życie, zajął się zakładem sierot, utrzymywanym przez Siostry Miłosierdzia, przy szpitalu w Gostynie. Szpital miał fundusze obmyślane przez obywatelstwo, ale sieroty żyły tylko ze składek dorywczo zbieranych. Bojanowski stał się ich wielkim jałmużnikiem. Niepodobna opisać jego ciężkich kłopotów i niezmordowanych trudów w tej mierze. Brał się na wszystkie sposoby. Między innymi wydawał rozmaite, to pobożne, to literackie książki, na dochód coraz pomnażających się, zwłaszcza w czasie cholery, sierot w tym zakładzie. Przez lat sześć ogłaszał, znany dobrze noworocznik *Pokłosie*. Sam, zbyt skromny, nigdy nic ze swoich prac nie chciał w tym zbiorze umieścić, ale natomiast pukał do wszystkich znakomości literackich, i nie mało też pięknych utworów O. Antoniewicza, Lenartowicza, Gaszyńskiego, Zaleskiego, Koźmianów, Morawskiego i innych w świat puścił. Skrzętny zbieracz, wszystkich podań i pieśni ludowych, wydał *Pieśni Wiejskie dla Ochronek* z melodyami. Bardzo to szacowny zbiorek. Pełno w nim ślicznych, a dotąd nie znanych piosneczek. Lenartowicz przygrywkę do nich napisał. Ochronki następnie były głównem Bojanowskiego zajęciem. Po wielu wreszcie trudach, przywiódł do skutku pomysł, długo pielegno-

wany, utworzenia zakonu z dziewcząt wiejskich, któreby się po wsiach poświęcały modlitwie i pracy, a zarazem słuźbie przy chorych i opiece nad dziećmi. Zakou ten, a raczej poboźne zgromadzenie, gdyż śluby składają się tylko na trzy lata, otrzymał nazwę Słuźbeniczek Matki Boskiej. Lud je zwykle Ochroniarkami zowie. Seminaryum, gdzie się kształcą, założonem zostało w Jaszkwie pod Śremem. Ztamtąd, po należnem wyuczeniu, rozchodzą się one po całym kraju. Ma ich nie tylko Poznańskie, ale Szląsk i Galicya, a nawet do ostatnich czasów miało i królestwo. Skoro który obywatel postanowi ochronkę u siebie założyć, bierze takich słuźbeniczek trzy. Dwie pracują po kolei na utrzymanie swoje i trzeciej, która dogląda i uczy dzieci. U nas dotąd brak sumiennej, rzetelnej, powolnej a ciągłej pracy. Chłop polski zerwie się, i o jednej godzinie zrobi więcej, niż Niemiec w trzech. Cóż z tego, kiedy resztę dnia przemaruje. Wyrobnik, skoro dozorca się oddali, zaraz ręce opuszcza. Otóż słuźbeniczki mają i to zadanie, aby pracując z innemi w polu czy ogrodzie, uczyły swym przykładem, jak należy sumiennie, skrzętnie, mrowczo pracować. Jest ich dotąd około 150. Wszystkie dziewczęta wiejskie, w znacznej części córki uwłaszczonych kmieci, nieraz więc z dość znacznym posagiem przybywają. W czasie cholery, były taką pomocą, iż im landraci pruscy największą pochwałę urzędownie oddawali. W r. 1866, władze wzywały je dla pielęgnowania rannych. Teraz powołano je do słuźby w jednym z domów obłąkanych w Poznańskiem. Wieść o tak dobroczynnej instytucji przedarła się już aż do Anglii. Przed niedawnym czasem przybyła do Jaszkowa jedna filantropka Angielka, aby się reguły wyczyć, a powróciwszy do swego kraju, poczęła zakładać podobne ochronki, i w samym Londynie już kilkadziesiąt urządziła. Instytucya ta winna swój początek i wzrost, wyłącznie Bojanowskiemu. Sterał się on też na tej pracy. W ostatnich latach pragnął zostać kapłanem, ale mu wiek i nadwężone zdrowie, przejść nauk teologicznych nie dozwolily. Był to ultramontanin najczystszej wody, wielbiciel Papieża, stronnik nieomylności i władzy doczesnej, przyjaciel zmartwychwstańców, jeden z głównych pracowników stronnictwa katolickiego w Poznańskiem.

Prawie jenocześnie umarł na emigracyi *Karol Królikowski*. Go-rąca i poboźna była to dusza. Brał on czynny udział we wszystkich miłosiernych przedsięwzięciach na wychodźtwie. Ilu sam wspierał, otaczał troskliwą opieką, dopomagał datkiem i radą, tego nawet wdzięczność ludzka policzyć nie zdola. Zaraz, z początku emigracyi, założył księ-garnię i wielce się przyłożył do ruchu literackiego w Paryżu. Ubogim literatom skutecznie pomagał, wydając ich prace na własne ryzyko. Księgarnia jego była przez lat przeszło trzydzieści, nie tylko miejscem, gdzie każdy, czy z kraju czy z prowincyi przybywający, mógł zasięgnąć potrzebnych wiadomości i zetknąć się ze znakomitościami literackimi, ale i biurem dobroczynności. Wieńcem jego zacnych prac i zabiegów, stało się stowarzyszenie *Czci i Chleba*. Jedyna to instytucya, która zjednoczyła wszystkie stronnictwa na emigracyi, a nadzwyczaj pomyślny swój wzrost, zawdzięcza głównie Królikowskiemu.

Skromny, odmawiający sobie wszystkiego, żył on jedynie dla bliźnich. Gorliwszego i prawowierniejszego katolika nie było nadeń między Polakami we Francyi. Był on jednym z najdawniejszych, najzarliwszych i najwytrwalszych przyjaciół zgromadzenia Zmartwychwstanców. Ich rady we wszystkim zasięgał, z nimi najczęściej przebywał, bronił ich do upadłego. Stronnik władzy doczesnej i nieomylności, podzielał w ostatnich czasach wszystkie troski i zabiegi gorliwych katolików, około przyjsia w pomoc ukochanemu przez siebie Piusowi IX. Pięknie o nim mówi p. Kraszewski w *Kraju*. Zapomniał tylko dodać, że to był ultramontanin *par excellence*, i że wszystkie jego prace i zasługi brały początek, pobudkę i siłę w tym kościele, o którym tenże p. Kraszewski powiedział, że „już kochać nie umie i nie nakazuje.“ Prosimy o podobne przykłady w radykalnym obozie.

*

Dzisiejsza oświata w szkołach. Liberalne nasze dziennikarstwo, ilekroć występuje przeciw nam katolikom, zawsze nas darzyć zwykło bardzo pięknemi epitetami. bo obskurantyzmu, ciemnoty, zacofania się i t. p. ulubionemi przez tych panów a o ich uczoności mówiącemi frazesami. Oni sami niosą oświatę, naukę, intelligencyę! Walczyć z tą czczą, śmieszną a pyszałkowatą ich frazeologią, byłoby rzeczą bezowocną i nierozsądną, na nią niema lekarstwa, jak na każde głupstwo. I dla tego unikaliśmy ją podejmować, chociaż *Gazeta Narodowa*, *Kraj* i *Dziennik zwany polskim*, wywijali nią ustawicznie, jak dzieci chorągiewką. Aż tu naraz w najsmutniejszy sposób objawiła się emanacya, owęj oświaty w zaszyłych szkolnych wypadkach w Stanisławowie *Facta loquuntur* czem jest dzisiejsza intelligencya, jeśli sama śmietanka i okwit ich oświaty do rozpędzania ultramontańskich i klerykalnych ciemności przeznaczony, tak pięknie się popisał!... Szeroka moralność liberalizmu zaprowadzała grono nauczycieli do przepędzania nocy całych po kawiarniach na pijatyce i grze w karty. Liberalizm tych panów, owianych duchem postępu wyżej wspomnianych dzienników, wciągał do swego towarzystwa majątniejszych uczniów. lub tych, o których wiadano, że odebrali pieniądze za lekcye. ażeby ich ograć. I gazety liberalne przepuściłyby to płazem jak przepuszczaly rok cały, gdyby się nie były wywiązały smutne z tego następstwa. Sama Rada szkolna, jeżeli nie reprezentantka, to zawsze hołdowniczka, co najmniej „opinii publicznej“ gazeciarskiej, jeżeli już nie szerokiej moralności zwolenników oświaty — wdać się w to wreszcie musiała. Wyznaczono komisya — ukarano z nieublaganą surowością winnych i liberalizm skończył na nietolerancyi! Ale nie o wyroku, jaki zapadł, mówić chcemy, ani myślimy, jak to czyni (wierszydłami nawet) *Gazeta Narodowa* (Nr. 335 korespon. Kołomyi), rozmazywać smutną tę nadzwyczaj sprawę — my chcemy tylko jedno uczynić pytanie: czy wypadek Stanisławowski nie powinien przekonać wszystkich myślących a przedewszystkiem Radę szkolną o zgubnych następstwach tego *antireligijnego* a przynajmniej nie dosyć religijnego kierunku, jaki nadano u nas publicznemu wychowaniu?

Serce boli patrzeć na tę biedną uczącą się młodzież, jak jest pozbawiona wszelkiego religijnego i moralnego prowadzenia, oddana jakby na to tylko do szkoły. aby na niej *sicut in anima vili* robiono doświadczenia z błędnych doktryn i zdrożnych teoryi. A przecież, jeśli który, to, młodzieńczy umysł potrzebuje przedewszystkiem ciepła wiary! Gorącym sercom, bujnej wyobraźni nie wystarczy zimne i oficjalne tylko

dopełnianie przepisów religii, ograniczające się na kikorazowej do roku spowiedzi i wykładzie szkolnym religii, jeśli i to jeszcze paraliżowanym jest zazwyczaj niewiara, obojętnością religijną, co gorzej, lekkim życiem samych panów profesorów. Rado szkolna! od młodzieży przyszłość ojczyzny zawista!

A teraz, w obec tego wypadku, niechajże rodzice zastanowią się, czy nie nakazuje im sumienie starać się o lepsze szkoły? o takie, aby ich dzieci, religijne odbierały wychowanie? *Naródówkę* zaś i Gumplowiczowski „*Kraj*“ zapytujemy, czy smutny wypadek Stanisławowski przemawia jeszcze za wnioskiem p. Chrzanowskiego, i czy niemielśmy i niemamy słuszności walczyć przeciwko waszej rewolucyjnej teorii przymusowego wychowywania dzieci? Wypadki same przemawiają niestety za nami — *Facta loquuntur!*

* * *

O. *Kaysiewicz* w drugim swoim liście z podróży zaatlantycznej, umieszczonym w niniejszym poszycie *Przeglądu Lwowskiego* wspomniał o Chicago. W chwili kiedy go pisał, miasto w całym przepychu swego bogactwa stało nad brzegiem ogromnego jeziora, a pożar, o jakim donosiły dzienniki, nawiedzić je miał daleko później. Otóż w liście pisanym z tego miasta do Rzymu, ks. Bakanowski przełożony misji polskiej, donosi, że czcigodny O. *Kaysiewicz* w chwili tej katastrofy znajdował się tam właśnie. Z dokładną opowieścią rzeczy spotkamy się więc pewnie w jednym z przyszłych Jego listów — zanim to jednak nastąpi, przytaczamy wyjątki z listu ks. Bakanowskiego, pisanego pod wrażeniami tego straszliwego pożaru.

„*Dziwiącego Października*. Dzisiaj mieliśmy już odjeżdżać do Detroit, ale okropnie zaskoczyło naszą podróż nieszczęście. Całe Chicago w ogień. Wczoraj zaczęło się palić o godzinie 9. wieczorem. Z powodu gwałtownego wichru dzisiaj już połowa miasta spalona, reszta lada chwila ulegnie pewnie tej klęsce. Zupełny ocean ognia zalewa i pochłania całe miasto. Blisko trzy mile od nas rozpoczął się wczoraj ogień. O. Przełożony, jak tylko spostrzegł nadzwyczajny blask luno, przeczuł coś strasznego, prawie całą noc nie spał, modliliśmy się razem długo, i około godziny 11. w nocy doznaliśmy prawdziwie cudownej opieki Boga; nagle bowiem wiatr zwrócił się w przeciwną stronę, ale za to pochwycił ogień całą piękniejszą i najbogatszą część miasta Chicago. Jednak do ucieczki jesteśmy przygotowani, ale gdzie? w pole? Tak jak w tej chwili już jest tam blisko sto tysięcy ludności. Jeśli się ocalimy, to tylko Bogu zawdzięczać — bo tylko o dwieście kroków morze ognia od nas, niech wiatr na chwilę zwróci się w tę stronę, już będziemy w płomieniach, pięć mil przestrzeni w najstraszliwszym ogniu. Wszystkie najpiękniejsze kamienice, najbogatsze magazyny kupców, wspaniałe ratusz, banki, biura itd., pałac biskupa, katedra, klasztor Benedyktynów i ich kościół, szkoły, uniwersytety, szpitale, trzy żeńskie klasztory, sławny półtrzecia miliona dolarów kosztujący budynek *Water Works*, skąd na całe miasto dostarczano wody, wszystko już w gruzach. Ogień ciągnie się dalej. Z miasta wyjechać teraz nie możemy, dworce kolei w płomieniach — miliony straty, setki popalonych ludzi. W tej chwili czuam na straży. O. Przełożony i O. *Wincenty* położyli się troszkę spać, godzina 2. po południu.“

„*Dnia 11. b. m.* O. Przełożony strapiony bezsennością i nieszczęściem ludzkim zachorował; dzisiaj rano odjechał do Detroit, ja musiałem zostać, aby pilnować kościoła i pocieszać biednych ludzi. — Podpalaczy złapali 90; 10 śmiecią ukarali zaraz, reszta po sprawdzeniu tak samo skończy. OO. Jezuitów podpalali trzy razy, każdą razą zapobieżono.“

„*Dnia 12. b. m* Ogień się ograniczył, i niby skończony ale jeszcze gore, pożerając pozostałe gruzy i opaliska. Ilu ludzi popalonych, na pewno nie wiedza, rachują niektórzy aż do paru tysięcy. Straty 400 milionów dolarów. Na 2000 akrów ziemi spalono gęste zabudowania, milionerzy żebrakami. Wczoraj i dziś zwiedzałem pogorzelska. Cegły i kamienie w proch obrócił ogień.“

„Bogu dzięki, wybawieni jesteśmy od tej straszliwej sodomskiej pożogi — 50 jednak familij polskich zgorzało. Wicher uraganowy obalił most z uciekającymi pięcioma pociągami kolei żelaznej, wszyscy nieszczęśliwi! potonęli. Następnego nocy 80.000 ludności, matki z drobnymi dziećmi nocowały pod gołym niebem w polu, a po spadnięciu rześistego deszczu a następnie silnego mrozu kilkoro dzieci zmarzło.“

* * *

Gazeta Narodowa (w nr. 335 z 5 listopada) nadzwyczaj gorąco zachwalała nowy numer ilustrowanej paskwinady zwanej *Szczutkiem*. Wielu z księży prenumerujących *Gazetę*, nie wie zapewne o czem tu jest mowa — otóż my uważamy za pożyteczne zaznaczyć ich z tą rzeczą — robimy to ze wstrętem, ale zrobić nam należy, aby duchowni prenumerujący *Gazetę*, wiedzieli jakie to rzeczy zachwala, proteguje i propaguje dziennik podtrzymywany groszem tysiąca przeszło księży. *Gazeta* zachwala przedewszystkiem ową niby „pieśń o czterech stanach Rzeczypospolitej galicyjskiej“, która ma być (jak mówi) „trafnym obrazem naszych stosunków społecznych“. Otóż czytamy tam następujące rzeczy o duchowieństwie:

„Jedzie za nim ksiądz, ksiądz,
Na koniku hoc, hoc,
Pełny przed nim brzuch, brzuch,
Myslałbyś że spuchł, spuchł,
Choć w kieszeni ręka brzęka,
To ksiądz gnie się, jęczy, stęka,
Nie przy kartach, to przy dzbanie,
A nazajutrz na kazanie,
Oj taki to ksiądz!“

(*Szczutek nr. 11 z 31 paźd.*)

Taką to żmiję karmią kościelnym groszem kapłani — dziennik pochwalający pisane na nich paszkwile!

* * *

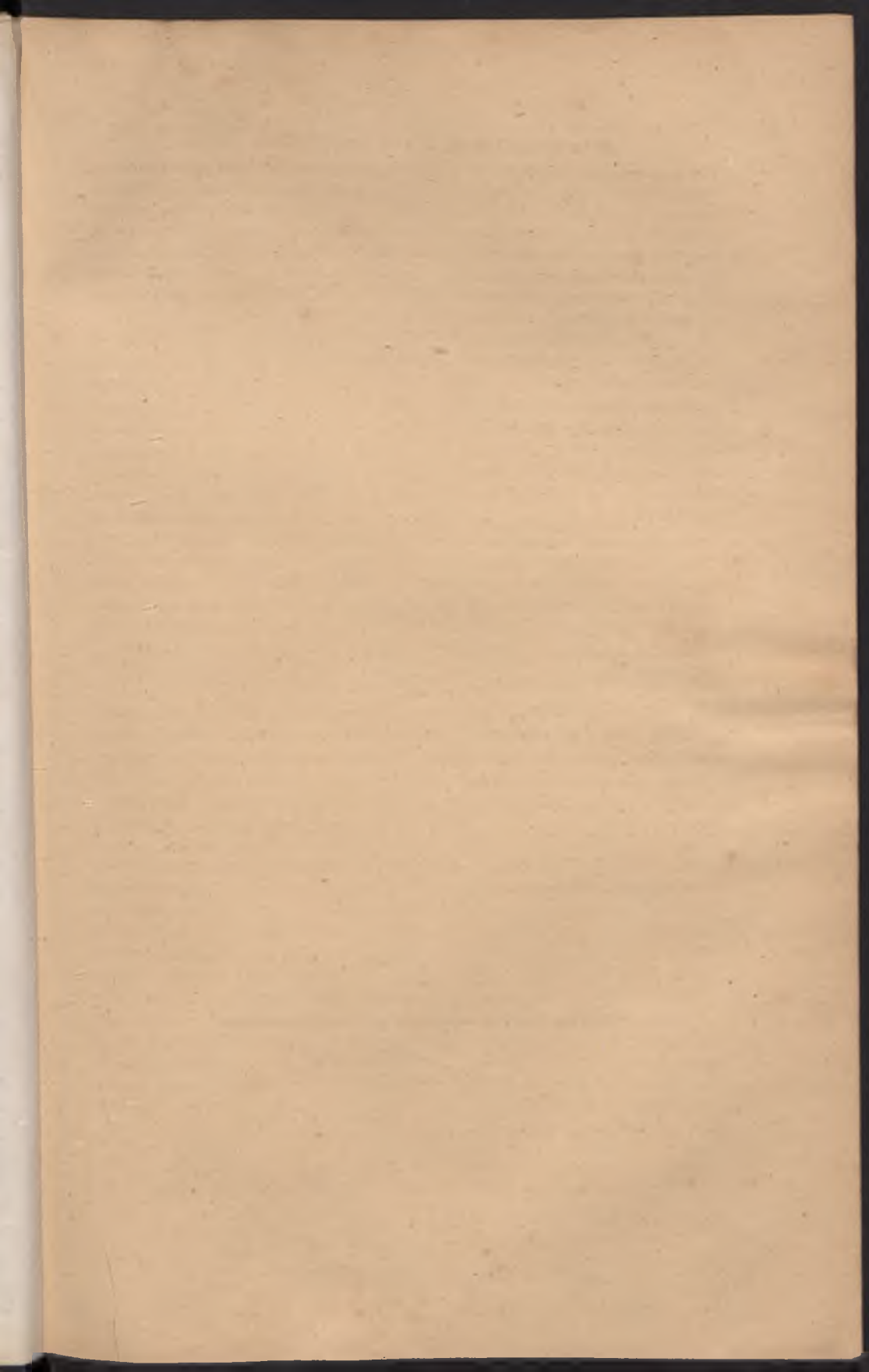
Znaczna liczba kapłanów w Wielkopolsce dała świeżo piękny przykład całemu duchowieństwu, jakie powinno zająć stanowisko wobec wrogiej u nas kościołowi prasy. Idąc za głosem sumienia, które nie pozwala każdemu katolikowi a tem bardziej kapłanom podtrzymywać ją prenumeratą — porzuciła zupełnie *Dziennik Poznański*. Radykalizm tej gazety zmusił ich do zaprenumerowania niemieckiego dziennika, kiedy innego w swojej prowincyi obecnie nie mają — ale za to nawskróś katolickiego, wychodzącego w Berlinie dzielną *Germanię*. Otóż z tego powodu, najwięcej w tej sprawie z materyalnych pobudek interesowany, *Dziennik Poznański* uderzył w patriotyczny swój taraban, na który to odgłos nasze galicyjskie dzienniczki chórem zawrzeszczały: „Naród polski *catholicissimus* wołają, a polski kapłan (!) od Niemców katolicyzmu się ma uczyć?“ Prawdę mówicie, cni koryfeusze liberalno-rewolucyjnej u nas gromady, że nasz naród katolicki — otóż

dlą tego właśnie, że katolicki, że katolicyzm jedyną dźwignią i siłą jego narodowości kapłani przeto na straży tak wiary jak i dobra narodu, stać obowiązani, nie mogą i nie powinni wspomagać was w wydanej przez was walce katolickim u nas' zasadom i katolickim uczuciom naszego narodu, obowiązkiem ich, wszędzie uchylać się od was jak skoro postępowaniem waszem dążycie do moralnego zabójstwa naszego narodu, zabójstwa przyszłości naszej ojczyzny! Musiano tedy zrobić z wami rozbrat i chwała' tym, co go zrobili i robią, bo się nie sprzeniewierzą wraz z wami sprawie ojczystej.

Co się zaś tyczy katolicyzmu od kogo się mają księża uczyć — to nie od was ale od swoich biskupów i Papieża' Rzymskiego tak samo jak i wszyscy inni katolicy kapłani. Od was moi panowie nigdy... Wy adorujecie same tylko chorobliwe plody niemieckiego liberalizmu, chwalicie protegowany przez Bismarka Döllingeryanizm, i uprawiacie szkodliwe społeczeństwu rewolucyjne aberracye oddawna już przez samych rewolucjonistów na zachodzie potępione. — Bądź co bądź, przyznajemy że położenie rzeczy smutne, ale nie duchowieństwo je stworzyło. *Dziennik Poznański* zmusił go do tego kroku. Smutna rzecz, prawda; ale smutniejsza byłaby daleko, gdyby ten dziennik byli prenumerowali — u nas zaś w Galicyi najsmutniejsza, że taki *Kraj*, takie bezecne pismo jak *Dziennik Polski*, taka *Gazeta Narodowa* liczą pomiędzy swymi prenumeratorami ogromną jak mówią liczbę księży niefanatyków, pomimo że są inne katolickie i polskie dzienniki! W jednej dyciecyi przemyskiej ku chwale tego dziełnego w Galicyi duchowieństwa powiedziec należy, nie spotkasz się łatwo z temi dziennikami, ale boć też to duchowieństwo i rekolekcyje odprawia!.....

* * *

Z powodu zniknięcia przejezdnemu obywatelowi z Wołynia, marszałkowi szlachty, panu L. N., jego córki z hotelu w Krakowie — dziennik *Kraj* i *Gazeta Narodowa* chciały koniecznie wyprawic drugą edycję awantury jaką zrobiono z Barbarą Ubryk. Zamiast szukać rozplątania węzła zawiązanej intrygi, aby publiczność ostrzedz o niebezpieczeństwie, wołały one podniecać fanatyzm przeciwko zakonowi. Córka pana L. N. dwudziestoletnia panna, opuszczając ojca, napisała do niego przez pocztę list, że go na klęczkach błaga o przebaczenie, albowiem postanowiła wstąpić do klasztoru. A więc list miał stanowić corpus delicti przeciwko zakonowi, a w pierwszym rzędzie OO. Jezuitom. Uprowadzonemu, podejrzliwemu a rozżalonemu ojcu nie wystarczyły roztropne perswazyje przyjaciół, ale wołał umieścić odezwę w *Kraju*, powtórzoną skwapliwie przez *Narodówkę*, w której inkryminuje zakony i oświadcza, że wydziedzicza córkę ze swego majątku. Odezwa miała służyć za przestrożę klasztorom; aby się nie daly ludzi obietnicą wielkiego posagu. Śmieszność ta da się jedynie wytłumaczyć wielką boleścią ojca. *Kraj* z zasady nieprzyjazny katolicyzmowi i jego instytucyom, posunął się aż do tego, że sprawę tej zgubionej panny zrobił sprawą całego społeczeństwa, a to w ten sposób, iż każda rodzina może mieć z łona swego wydartą córkę i wciągniętą gwałtem do klasztoru przez jakąś tajemniczą działającą potęgę! Nawet żydówki porywane być mogą!... Biedni ludzie! biedny ojciec! Czego to złość, uprzedzenie i boleść wytworzyć nie zdolne!



Przegląd Lwowski

wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca
objętości 3½ do 4 arkuszy druku.

Przedpłata wynosi: w Galicyi ćwierćrocznie zlr. 2; półrocznie zlr. 4;
rocznie zlr. 8.

W Prusach, Rzeszy Niemieckiej i Wielkopolsce: ćwierćrocznie talarów 1½; półrocznie tal. 3; rocznie tal. 6.

We Francyi, Belgii, Włoszech i Szwajcaryi: ćwierćrocznie franków 7; półrocznie fr. 14; rocznie fr. 28.

Przyjmują także prenumeratę we Lwowie: Agencya „Czasu” u p. Piątkowskiego, plac katedralny; księgarnie pp. Sayfartha i Czajkowskiego, oraz pp. Schmidta i Gubrynowicza; — w Krakowie księgarnie p. Jaworskiego p. Krzyżanowskiego; — w Poznaniu w księgarni p. Tytusa Daszkiewicza; — w Prusach w Ostrowie u p. Priebatsch'a; — w Paryżu rue de la Trinité 3. chez Mons. l'Abbé Léon Postawka.

Uwaga: Dla uniknienia opóźnień w przesyłce prosimy prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do Administracji Przeglądu Lwowskiego w kamienicy kapitulnej l. 24.

Dd Redakcyi.

Oświadczamy niektórym pp. Księgarzom, że dwóch ostatnich zeszytów nie pošemy im wcale, dopóki rachunków od nich nie odbierzemy.

Od wielu z naszych Prenumeratorów należy nam się za dwa ubiegłe jeszcze kwartaly. Upraszamy uprzejmie o nadesłanie nam tej zaległości.

Wielu przysłało nam prenumeratę po 1 zła. 50 cnt. Gdy tymczasem wynosiła 8 guldenów a nie 6 rocznie, mamy więc u nich jeszcze po dwa guldeny zaległe. Prosimy o zrównanie prenumeraty.

Nakładem Wydawnictwa Przeglądu Lwowskiego
wyszła

PAMIĄTKA
25letniej rocznicy wstąpienia na Stolicę Apostolską
PIJCA ŚW. PIUSA IX.

Dostać ją można w Administracji Przeglądu:

Cena egzemplarza na papierze holenderskim	2 zł. — ct.
na papierze listowym	1 „ 50 „
na papierze zwykłym	1 „ — „